Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 66 | 20 marca, 1944 | Cena (Price) 1/-

STANISŁAW KOWALSKI

WIELKA REWOLUCJA

I

WIELKIE OBOWIĄZKI POLAKÓW

ISTOTA zdarzeń, które przytłaczają nas obecnie, poczęła się w pracowni uczonego. Winowajcami kataklizmu, który nas druzgocze, są zbrodniarze i oportuniści polityczni, ale jego mimowolnymi sprawcami są także ci, którzy o głodzie i chłodzie, w nieopalanych laboratoriach, w nędzy całego życia od z górą stulecia wydzierali martwej materii jedną po drugiej tajemnicę potęgi. Tym głodomorom śnił się w ich zimnych pracowniach lepszy los człowieka. Nie jest ich winą, że zamiast lepszego losu wylały się z ich retort strumienie krwi na cały świat.

Wytłumaczenia obecnych zdarzeń należy szukać w największej r e w o l u c j i, jaką przechodzi cywilizacja zachodnia, w rewolucji XIX i XX w.w zakresie narzędzi używanych przez człowieka. Wiek XIX przedstawia się w postaci wielkiej księgi rejestracyjnej, w której uradowany, ale oślepły od tego uradowania, człowiek mógł co miesiąc notować nowe odkrycie techniczne. Z chciwością skąpca zgarniał zachłannie każdy nowy dar losu i włączał go w swoje życie, nie patrząc, czy na tym nowym błogosławionym przedmiocie nie ma jakichś z o b o w i ą z a ń warunkujących jego używanie bez szkody.

Ten wspaniały, ale małoduszny i egoistyczny wiek XIX, używając nowych narzędzi życia, o jakich nie śniło się człowiekowi poprzednich stuleci, nie dostrzegł w owym przełomie technicznym dwóch przede wszystkim spraw: *celu* wewnętrznego wszelkich dokonań, które płyną z postępu, oraz *ilości liczbowej* owego postępu zgęszczonego na krótkim odcinku czasu, co właśnie spowodowało wspomnianą rewolucję w sposobie życia dotychczasowego.

Wszelka praca wynalazcza płynie z wyrzeczenia się wynalazcy. Na jego pracę — oprócz jego osobistego poświęcenia — składają się całe generacje, miliony szarych, zwykłych ludzi, którzy wydają z siebie jednostki najproduktywniejsze, przyczyniające się do rozwoju i postępu i realizujące marzenia wielkich mas ludzkich. Rezultat pracy wynalazców, płynący z instynktu całych środowisk, napewno nie był przeznaczony na dar dla nielicznych jednostek, aby wzmóc ich osobiste bogactwa, obdarzyć ich siłą dla trzymania w posłuchu milionów niewolników. Napewno nie był pomyślany z intencją dania do ręki kiedyś, po dziesiątkach lat, Hitlerowi środków do narzucenia światu niemieckiego krwawego "nowego ładu", ani Stalinowi do prób narzucenia temu światu dyktatury komunistycznej, jęczącej setkami obozów koncentracyjnych. W genezie każdej uczciwej pracy nad postępem tkwi jej s p o ł e c z n y czyli moralny, charakter. Wiek XIX tego nie zrozumiał. Użył zjawiających się darów na spotęgowanie racji politycznych, racji ekonomicznych, nie umiał ich użyć dla wzmocnienia racji moralnych i społecznych.

To pierwsze niezrozumienie. Płynęło ono z zachłanności; drugie płynie z głupoty. To drugie niezrozumienie polega na tym, iż nie zrozumiano rewolucyjnego charakteru, wynalazków w stosunku do całokształtu życia. Już jeden wynalazek rewolucjonizuje życie na tym odcinku, którego dotyczy. A cóż dopiero, gdy tych wynalazków było tysiące, z każdym zaś rokiem przybywa nowe dziesiątki. W ciągu ostatnich 150 lat nie było jednej dziedziny życia, która by raz czy wielokrotnie nie została zupełnie przeinaczona przez nowo wynalezione narzędzie techniczne. Środowiska ludzki zaś zachowywały się tak, jakby nic się nie stało; włączały m e c h a n i c z n i e każdą nowość w dotychczasowy tryb życia, w dotychczasowe formy, w dotychczasową strukturę i konwencję, a każdy symptom buntu, zjawiający się jak sygnał ostrzegawczy, dusiły siłą: pieniądzem, policją, szantażem pustych frazesów i decyzjami zatabaczonych, sklerotycznych autorytetów. Lecz choć więc na powierzchni tego nie było widać, spodem, w głębi owa nieuchronna rewolucja dokonywała się bezustannie. Poza swiadomością opinii, poza intuicją sztuki, poza czujnością intelektu dojrzewało zjawisko absolutnej zmiany życia w jego charakterze i w jego narzędziach.

Każda rewolucja dokonuje się oczywiście przez człowieka, lub przez grupy ludzi, których bezpośredni interes domaga się spełnienia rewolucyjnych żądań. *Przeoczenia moralne i społeczne* XIX stulecia, tak zwielokrotnionego w swoich możliwościach a tak egoistycznie skąpego, pierwsze podniosły protest rewolucyjny, jeszcze w pośrodku stulecia bezmyślnej sielanki. Mogło się to stać tak prędko dlatego, ponieważ takie społeczne protesty mogą się dokonywać nawet poprzez pojedyńczych ludzi i w obrębie małych nawet środkowisk. Jeśli chodzi o rewolucję społeczną, rewolucję w zakresie codziennego życia człowieka, to wybuch wojny w 1914 roku proces ten zastał wcale już znacznie zaawansowany, mający nawet za sobą wcale duże osiągnięcia.

(Muszę tu dodać dla wyrazistości obrazu stwierdzenie, iż fakt nie wyjścia naprzeciw zagadnieniom społecznym, ale pozwolenie, aby dochodziły swych praw przemocą, rewolucyjnymi barykadami, pociągnął za sobą dla ludzkości wielkie koszta w postaci krwi i bólu ludzkiego, nie doprowadził do jasnego uprządkowania tych spraw, stworzył materiał palny dla wszelkich konfliktów politycznych i stał się pożywką dla żerowania wszelkiego typu kombinatorów politycznych, karierowiczów, "wodzów ludu", i twórców totalitarnych państw, sowieckich, faszystowskich i hitlerowskich.)

Przeoczenia co do zmian w technice świata, dotyczących życia zespołowego wielkich grup ludzkich, więc przede wszystkim wiązań międzynarodowych, doszły do głosu o wiele później. Jeszcze dziś dyplomacja pewnych krajów, w czasie gdy z Londynu do Berlina leci się pięć godzin, myśli kategoriami i pracuje metodami stworzonymi w czasie, gdy z Londynu do Berlina jechało się dwa tygodnie. Poza świadomością opinii świata wzbierała rewolucja mierząca w dotychczasowy system wiązań międzynarodowych. Rewolucja ta doszła do pełnego głosu później, niż jej odpowiednik społeczny. Stało się to raz dlatego, że, aby zdobyć posłuch przemawiać nie mogła głosami poszczególnych ludzi i małych grup ludzkich, ale narzucić swe żądania musiała ogarnięciem wprzód całych społeczeństw i całych wielkich przestrzeni, powtóre zaś dlatego, że opór schematów dotychczasowych był tu jeszcze zaciętszy niż na odcinku społecznym. Od czasu wojny prusko-francuskiej aż po Monachium i Tehe-

ran, politycy dobrej woli czynili tysiące sztuk akrobatycznego balansu nad przepaściami, aby wiązać rozlatujący się świat sznurkami dotychczasowych pojęć rutyny dyplomatycznej.

Rewolucja wiązań międzynarodowych poraz pierwszy potężnie doszła do głosu w roku 1914, lecz nikt tego nie zrozumiał. Wysilając się w największej gorliwości, zaklajstrowano całe zjawisko, przypudrowano je, wyszminkowano, nalepiono genewski "*point de beauté*". Proces został zduszoszony, zakneblowany, ale nie znikł. Zaczaił się i czekał okazji, żywiąc się witaminami głupstwa, krótkowzroczności i małoduszności.

Tragiczny błąd naszego pokolenia pod względem spraw międzynarodowych polega na tym, iż myślimy o nich kategoriami i pracujemy narzędziami rzeczywistości, której już niema. Rzeczywistość znikła, przemieniona na inną wynalazkami XIX i XX wieku, ale pojęcia i narzędzia polityczne zostały te same, których używano przed stu laty. W takim stanie rzeczy trudno się dziwić temu, czemu dał ostatnio wyraz jeden z mężów stanu mówiąc, że nigdy nie było tak trudno prowadzić polityki zagranicznej jak obecnie. Lecz cały sekret trudności polega na tym, że ten świat, który teraz istnieje, potrzebuje innych pojęć i narzędzi politycznych. Wyrzucić stare, wziąść nowe! Może polityka międzynarodowa nie okaże się tak trudna.

Wszystkie stare narzędzia polityczne pochodziły z jednego tylko kruszcu: z siły. Wiązania międzynarodowe trzymały się na sile. W dotychczasowych warunkach, kiedy świat nie był tak gęsto zamieszkały, kiedy poszczególne środowiska ludzkie były odległe od siebie o kilka dni drogi koleją czy okrętem, kiedy armata biła na 5 kilometrów, a nie na tysiąc — zwielokrotniona skrzydłami samolotu —, te narzędzia polityczne mogły od biedy wystarczać, gdyż ich drastyczności dziesiątkami lat człowiek nie doświadczał na sobie. Lecz ludzkość przekroczyła dwa miliardy, świat skrócił się, a siła nośności eksplozywów wydłużyła. W tym stanie rzeczy narzędzie polityczne, które ma na usługi jedynie siłę, codziennie zagraża już samemu biologicznemi istnieniu k a ż d e g o człowieka. Konsekwencją używania dalej tych kategoryj politycznych, przy dokonanej rewolucji technicznej, jest bezustanna rzeź wojenna i okupacyjna, co biorąc rzecz obiektywnie nie jest perspektywą nęcącą.

Na tle procesów rozwojowych globu ziemskiego istnieją tylko dwie możliwości w zakresie ułożenia życia międzynarodowego:

p i e r w s z a, oparta na dotychczasowej zasadzie siły, wyciągająca z postępu zbrodnicze konsekwencje, a doprowadzająca całą przestrzeń świata do podziału między kilka uzbrojone po zęby mocarstwa, które skolei zaczną się rżnąć między sobą, ponieważ istotą przyjęcia zasady siły jest dążenie do użycia tej siły dla zapanowania nad drugim. Konsekwencją tych podziałów może być jedynie stopniowe eliminowanie poszczególnych wielkich partnerów drogą podbijania przez innych, aż w końcu świat dojdzie do tego, iż jedna siła opanuje cały głob ziemski. Czas do chwili tej unifikacji, będzie czasem *wielkich* rzezi, a czas po tej unifikacji będzie czasem *licznych* rzezi na poszczególnych buntujących się terenach, rzezi dokonywanych przez siłę centralną. Aż nadejdzie epoka "uspokojenia," epoka manekinów ludzkich z książki Huxleya.

d r u g a, oparta na konsekwencjach płynących z podstawowych praw i ducha postępu cywilizacji chrześcijańsko-zachodniej. Ten postęp, który tak bardzo zmienił ludzką rzeczywistość, płynął z zasadniczej tendencji wynajdywania coraz doskonalszych sposobów współżycia, aby *pomóc* człowiekowi w jego organizacji społecznej i międzynarodowej. *Stąd zasadniczą konsekwencją dotychczasowego rozwoju naszej cywilizacji jest zamiana s i ł y, jako narzędzia wymuszającego, na p o r o z u m i e n i e, jako rozsądne, sprawiedliwe ułożenie rzeczywistości ludzkiej.* Ta druga możliwość w zakresie współżycia międzynarodowego doprowadzić musi do międzynarodowej organizacji umownej w zakresie zrastającego się świata. Jest jasne, że rewolucja społeczna i rewolucja w stosunkach międzynarodowych, spowodowana przez postęp XIX stulecia, są tym samym zjawiskiem: dotyczy ono stosunków między człowiekiem a człowiekiem i między narodem a narodem. Te same prawa i te same zasady muszą układać stosunki jednostkowe i stosunki grupowe.

Wkrótce się okaże, że sama wojna, wojna z "osią", jest już tylko zjawiskiem pobocznym. Zaś głównym zjawiskiem naszych dni jest r e w o l u c j a w układzie życia ludzkiego. Nierozumiana, spychana, tłamszona, czekała ta rewolucja na rozchwianie się rutyny dotychczasowego świata w konsekwencji wojny i wyszła na wierzch. Ponieważ nikt jej nie zabiegł drogi z planem opartym na zrozumieniu istoty rzeczy, a chcą ją jedynie złowić z powrotem na zerwany łańcuch — przeto zatacza się ta ślepa siła po kontynentach i grozi zagładą. W drugim półroczu 1943 r. złapała przywódców cywilizacji chrześcijańsko- zachodniej za gardło i każe uznać swój niszczący autorytet. W styczniu i lutym 1944 r. uścisk stał się jeszcze silniejszy, odczuwa się brak powietrza, słychać rzężenie. Mężowie stanu są nieszczęśliwi, sprzątnięto im najulubieńsze ich narzędzie, możliwość przewlekania, odkładania decyzji w trudnych sprawach. W tym najdramatyczniejszym momencie historii wybierać trzeba natychmiast! Pod grozą katastrofy, wobec której wszystko co było dotychczas jest jedynie bladą uwerturą wybierać: przyszłość opartą na sile i gwałcie, czy przyszłość opartą na ładzie.

Co ludzie cywilizacji zachodniej wybiorą?

Postęp cywilizacyjny dokonał się *wewnątrz* cywilizacji zachodniej; z jej soków, z jej treści uformował swoje osiągnięcia. Lecz cywilizacja ta zawiniła tym, że nie potrafiła zdobyć się na jeszcze trochę bezinteresownego wysiłku celem zrozumienia dokonanych wynalazków i znalezienia im miejsca w życiu. Zgrzeszyła brakiem myśli i brakiem wyobraźni w ocenie konsekwencji, płynącej z rozpętanego przez siebie postępu.

Lecz znaleźli się tacy, którzy brakiem wyobraźni nie zgrzeszyli. Byli to, na nieszczęście, ci, którzy duchowo zerwali z tradycjami cywilizacji zachodniej, hitleryzm i sowietyzm. Tworzyli swoje filozofie podboju i potrzeba im było sił dla narzucenia ich całemu światu. Nie poskąpili wysiłku wyobraźni. Ogarnęli kolosalne możliwości płynące z rewolucji, postępu dokonanego przez wiek XIX. Pojęli, że świat — choćby nie chciał — musi się łączyć. Na tej cesze charakteru naszych czasów, t e n d e n c j i i n t e g r a c y j n e j postanowili robić karierę swych imperialistycznych, antycywilizacyjnych planów.

Przez pierwszą fazę wojny byliśmy świadkami próby Hitlera w tym kierunku, do przeprowadzenia której używał skracających przestrzeń wynalazków, urodzonych w ostatnim wieku postępu. Próba się nieudała. Na miejsce Hitlera wyszedł nowy kandydat — Rosja sowiecka. Czyni ona to samo. Chce scalić olbrzymie przestrzenie, używając do tego całej olbrzymiej techniki stworzonej przez ostatni wiek postępu. O b i e t e p r ó b y w y p ł y w a j ą n i e z e s p o ł e c z n e g o i n t e r e s u w s z y s t k i c h l u d z i. l e c z z i n t e r e s u i m p e r i a l i s t y c z n e g o d a n e g o n a r o d u. Obie próby stają przeciw naturalnym zasadom całej cywilizacji dotychczasowej.

Jedna próba się nie udała. Druga jest w najwyższym punkcie swego wysiłku. Udanie się jej względnie klęska zależy od tego, czy z wnętrza samej zagrożonej cywilizacji zachodniej nadejdzie dla jej burzycielskich planów pomoc.

AKTUALNE KONSEKWENCJE POPRZEDNICH TEZ

Taka jest istota tej wojny.

Jest to nie wojna już tylko, ale wielka rewolucja. Rewolucja, oczywiście, innego typu od tych, które nauczyliśmy się widzieć w akcesoriach barykad i rżnięcia burżujów. Jest to rewolucja całej dotychczasowej cywilizacji, bunt tych w niej czynników, które rosły przez ostatnie stulecie, nie mogąc znaleść pomieszczenia w życiu.

Zawsze, ale w takich czasach zwłaszcza — p i e r w s z ą r z e c z ą j e s t r o z u m i e ć. Jest to konieczność nieodzowna dla wszystkich, którzy poczuwają się do przynależności do cywilizacji zachodniej, lecz nam chodzi o to, aby rozumieli dobrze sytuację przede wszystkim Polacy. Takie zrozumienie, być może, przerwie niejednemu z nas naturalną skłonność do spokoju, ukaże życie naszej generacji jako nieustający wysiłek, ale zarazem odsłoni prostą drogę postępowania. W ostatnich miesiącach można było zauważyć, że nie tylko najlepsi przedstawiciele innych narodowości, ale również niektórzy Polacy zaczęli myśleć, że wszystko jest już tylko grzęzawiskiem, z którego niema wyjścia. Splątanie myśli, melancholia, bezradność, bezczynność.

Tymczasem nigdy bardziej nie wymagano czynności, pracy i wysiłku od Polaka, jak w tej chwili. Ten który pozwala sobie na chwiejność myśli, na melancholijne *Weltschmerze* i bezczynność ten jest — zdrajcą. Rzecz prosta, można mieć do Pana Boga pretensję, że w takim czasie kazał przyjść człowiekowi na świat, a nie pięćdziesiąt lat wcześniej, czy pięćdziesiąt lat później. L e c z j e s t k w e s t j ą h o n o r u n a t u r y l u d z k i e j d o t r z y m a ć k r o k u t y m c z a s o m, w k t ó r y c h l o s c z ł o w i e k a p o s t a w i ł.

Wobec zjawisk olbrzymich, tragicznych, niosących zagładę możliwe są również inne postawy, niż jedynie postawa usłużnego lęku, która była dotąd obca naturze polskiej i obca jej będzie nadal. Jeśli nawet wysokie zagraniczne przykłady demonstrują taką postawę, to trzeba wiedzieć, iż Polakowi przyjmować jej nie wolno. Dla Polaka jedyną postawą jest wychodzenie każdemu niebezpieczeństwu naprzeciw. W chwili obecnej musi on rozumieć, że światem przechodzi wielka rewolucja, w której się waży przyszłość cywilizacji. Polska — jak zawsze — stanowi pierwszy szaniec obrony, więc rozumie doskonale to, czego narody z głębi zaplecza jeszcze nie rozumieją. Rzeczą Polski i Polaków jest działać według swego najlepszego rozumienia.

Jest pomyłką twierdzić, że Polska postawiła w tej wojnie na Wielką Brytanię. Polska w tej

wojnie postawiła na cywilizację zachodnią w obrębie świata brytyjskiego. W tym stanie rzeczy jest rzeczą mającą tylko chwilowe znaczenie, gdy się usłyszy w Wielkiej Brytanii, że słuszna jest w stosunkach polsko-sowieckich "linia Curzona", bowiem głos cywilizacji zachodniej mówi coś wręcz przeciwnego. Wielka Brytania miała uważać "linię Curzona" za słuszną w r. 1919, lecz w r. 1923 uważała już za słuszną inną linię, a w 1939 również inną. L e c z g d y b y j a k i m ś z b i e g i e m o k o l i c z n o ś c i a k u r a t t e n s ą d z 1 9 1 9 r. m i a ł b y ć n a j s ł u s z n i e j s z y, t o n a w e t w ó w c z a s z n a c z y ł o b y, t o t y l k o, ż e l u d z i e, k t ó r z y ó w s ą d p o w z i ę l i, ź l e s i ę w p r z ó d p o i n f o r m o w a l i, l u b ź l e z o s t a l i p o i n f o r m o w a n i.

Polska na swoich ziemiach wschodnich od zgórą sześciuset lat krzewiła cywilizację, chrzciła, budowała kościoły, zakładała szpitale, szkoły i uniwersytety, i Polska ma do tych ziem prawo, jeśli język ludzki jest odbiciem cywilizacji, a nie bełkotem zdziczałego, czy zalęknionego barbarzyństwa.

Polak w tych czasach ma jedno ze swych największych zadań w dziejach: b y ć n a w i e l k i e j s c e n i e z d e z o r j e n t o w a n e g o ś w i a t a m o d e l e m c z ł o w i e k a c y w i l i z a c j i z a c h o d n i e j. Żadnych dąsów, histerii, rozkładania rąk, przekleństw, głupich porywów, idiotycznych ulotek, szastania sił, szukania zapomnienia w wódce i kartach, układania nihilistycznych póz, a w polityce niejasności, kręcenia, "siucht" i półkompromisów. Każda uncja siły polskiej będzie potrzebna, gdy się zmierzyć z wrogami Polski przyjdzie na polach bitewnych a spokój i opanowanie tym więcej jest potrzebne, im głębiej inni nasi sprzymierzeńcy pogrążeni są w czasowym nieuświadomieniu.

Istotą tej wojny jest mocowanie się dwóch cywilizacji. Wierzymy, że cywilizacja zachodnia posiada tyle siły, iż potrafi się zmobilizować wobec w s z y s t k i c h zasadzek i — zwyciężyć. Od tego zwycięstwa zależny jest nasz los. A jeśli tak, to rzeczą Polaka jest pokazać żywy wzór cech tej cywilizacji. Po pięciu prawie latach nienormalnego życia, takiego jak nasze, nie jest to rzecz łatwa, lecz jest to rzecz konieczna.

A warto przytym pamiętać, że cechami naszej cywilizacji są także:

jasne, łacińskie myślenie i dokładne formułowanie myśli,

odwaga w wypowiadaniu słusznych sądów w każdej okoliczności, i

niezłomność w słusznych zasadach, oraz nienawiść do kręcenia, choćby dla najbardziej uzasadnionej przyczyny.

Jesteśmy dopiero w środku wielkiej rewolucji cywilizacyjnej. Nie ma co zawodzić. Cały ten kram nie jest jeszcze skończony. Naszą rzeczą nie jest smęcić się, lecz naszą rzeczą jest osiągnąć zwycięstwo dla naszej cywilizacji.

Wierzymy w to zwycięstwo. A na dokładkę, kto wie, czy nam i naszym sprzymierzeńcom nie uda się jeszcze ochrzcić Rosji sowieckiej, jak kiedyś ochrzciliśmy Litwę, i włączyć ten rosyjski potężny, młody, patriotyczny kraj w zgodny zespół narodów, gdzie się nie będzie zabierało cudzej własności pod kłamliwymi pretekstami, lecz będzie się w s p ó ł ż y ł o.

STANISŁAW KOWALSKI

MARIAN E. ROJEK

WOJNA DOMOWA[1]

KOŃ TROJAŃSKI WYBORÓW

WYBORY parlamentarne były zawsze Eldoradem dla hiszpańskich temperamentów politycznych, więc też nikt na nie nie narzekał. Uformowały się trzy bloki: prawicowy z ostrzem antymarksistowskim, centrowy oraz *Frente Popular* — jako przejęta z Francji koncepcja moskiewska, w której wreszcie mieli się pomieścić oficjalnie i legalnie komuniści. Z Centrowej Partii Radykalnej (Lerroux) odłamała się grupa Martineza Barrio, która wzięła udział w Froncie Ludowym. Ten ostatni więc skupiał żywioły bardzo rozmaite, od przedstawicieli prawdziwej burżuazji zaczynając, na przedstawicielach Kominternu kończąc. Nic dziwnego tedy, że program Frontu Ludowego był całkowicie negatywny i tylko "przeciwfaszystowski", bez żadnych elementów pozytywnych. Ograniczony był tylko do wyborów i miał spełnić rolę konia trojańskiego, w którego wnętrzu komuniści mieli być przewiezieni w sam środek hiszpańskiego życia politycznego.

Wybory odbyły się w dniu 15 lutego 1936 i dały zwycięstwo Lewicy. Nie było to jednak zwycięstwo miażdżące, gdyż Front Ludowy uzyskał 258 mandatów na 152 prawicowych i 62 centrowych. W liczbie oddanych głosów różnica ta przechodziła wprost w mniejszość Frontu Ludowego, gdyż uzyskał on 4.206,156 głosów, Prawica 3.783,601 i Centrum 681,047. Razem więc Prawica i Centrum uzyskały więcej głosów, niż Front Ludowy, choć mniej mandatów. Po zebraniu się jednak Parlamentu większość Frontu Ludowego przeprowadziła "rewizję" cyfr wyborczych, którą Prezydent Alcala Zamora uznał za wybitnie stronniczą. Po tej rewizji ilość mandatów Frontu Ludowego wzrosła do 277, Prawicy zaś i Centrum zmalała do 132 i 32. Na jeden mandat lewicowy wypadało oficjalnie po rewizji 17,140 oddanych głosów, na mandat prawicowy 30,279. Nie można nie zauważyć, że ta "demokratyczna" matematyka wyborcza hiszpańskiej Republiki nie była chyba zbyt przekonywująca dla monarchistów.

Pomimo takiej stronniczości Lewicy grupy prawicowe jeszcze raz złożyły dowód, że zasadniczo nadal nie odstępują od metod legalnych i pokojowych. Po ogłoszeniu ostatecznych cyfr wyborczych Generał Franco zgłosił się do premiera Porteli oraz do Gil Roblesa w imieniu Wojska, deklarując zbrojną pomoc, jeżeli zdecydują nie oddać rządów Lewicy. Gil Robles stanął jednak na gruncie praworządności, odrzucił pomoc Junty wojskowej i wkrótce ogłosił oświadczenie, przyjmujące wynik wyborów, domagające się równego traktowania wszystkich stronnictw politycznych i deklarujące pomoc jego ugrupowań w utrzymaniu porządku publicznego.

Lewica jednak nadal dążyła do przewrotu ogólnego. Wprawdzie w wyborach znowu odzyskały swe znaczenie wewnątrz Lewicy ugrupowania mieszczańskie, a liczba bloku posłów Akcji Republikańskiej i *Esquerry* katalońskiej, podtrzymującego Azanę (103), dorównywała łącznej liczbie socjalistów (89) i komunistów (14), ale pomimo to do wyregulowania stosunków na Lewicy oraz do ułożenia jakiegoś wspólnego programu polityki ewolucyjnej nie doszło. Na skutek wybuchu rozruchów lewicowych tuż po wyborach Gabinet Porteli ustąpił a nowy utworzył Azana, prawie wyłącznie jednak z własnych tylko zwolenników, bez poparcia innych grup lewicowych.

Inne bowiem grupy lewicowe dążyły do wojny domowej. W tym kierunku wypowiedział się stanowczo przywódca socjalistów Largo Caballero. Doradcą jego przez długie lata był Katalończyk Fabra Ribas, który w tym czasie zrezygnował z działalności politycznej i został urzędnikiem Ligi Narodów. Jego miejsce zajęli dwaj inni socjaliści: Luis Araquistain i Julio Alvarez del Vayo. Oni podtrzymali Largo Caballero w mniemaniu, podsuniętym z Moskwy — co zaświadcza Araquistain — iż ma on być hiszpańskim Leninem. Madariaga twierdzi, iż Alvarez del Vayo nominalnie tylko był socjalistą, w rzeczywistości zaś komunistą, odkomenderowanym do działalności wśród socjalistów. Podróże jego do Moskwy zaczęły się w 1930 r., a więc jeszcze przed upadkiem Monarchii. Przed wybuchem wojny domowej doprowadził on do połączenia się socjalistycznego Związku Młodzieży ze Związkiem Komunistycznym, przy czym "manifestacyjnie" bronił odrębności socjalistycznej. Skoro bowiem obie organizacje mundurowały swoich członków na modę faszystowską w specjalne koszule i krawaty, socjalistyczni członkowie połączonego Związku nosili czerwone koszule i czerwone krawaty, komunistyczni zaś, skromniejsi wobec socjalistów, również czerwone krawaty, ale już tylko błękitne koszule. Taki sukces socjalistów wobec komunistów wróżył jak najlepiej na przyszłość.

Azana zaczął swoje premierostwo od wypuszczenia na wolność więźniów, więc też niedługo "dym z palonych kościołów i klasztorów wzniósł się do nieba". Zaczęły się rozruchy rolne, okupacja mieszkań właścicieli ziemskich, palenie zbiorów i łamanie nóg bydłu i koniom. Wślad za tym poszła fala strajków w miastach i zamachów przeciw różnym osobistościom politycznym. Pomimo iż w tym okresie zamachy organizowane były wyłącznie ze strony Lewicy, ofiarą jednego z nich padł Alfredo Martinez ze stronnictwa Liberalnych Demokratów, b. minister w rządzie Porteli. Kraj przebiegali ajenci rewolucyjni. W miastach dochodziło również do okupacji prywatnych mieszkań inteligencji, do zabraniania jazdy własnym samochodem bez szofera ze związku zawodowego, do zabraniania polewania kwiatów w ogrodzie bez zatrudniania do tego ogrodników ze związków zawodowych i t.p. Okupowano oczywiście również fabryki, a członkowie związków zawodowych anarchistycznych wysadzali dynamitem domy prywatne budowane przez robotników ze związków socjalistycznych.

W tym czasie politycy lewicowi zajęci byli rugowaniem Prezydenta Alcali Zamory. W stronnictwie socjalistycznym doszło do głębokiego rozdarcia. Largo Caballero dążył do rewolucji, Indalecio Prieto zaś do rządów parlamentarnych na zasadzie Frontu Ludowego. Largo Caballero chciał komunistów w rewolucji wyprzedzić, Indalecio Prieto chciał ich okiełzać we wspólnej pracy rządowej. Więc Indalecio Prieto miał plan, żeby prezydentem zrobić Azanę, samemu zaś

zostać premierem i na czele Gabinetu Frontu Ludowego ewolucyjnie przez lat sześć rządzić krajem. Largo Caballero zaś w ogóle nie chciał rządów parlamentarnych, lecz wprost zamachu stanu i rewolucji.

Skoro Lewica hiszpańska miała do wyboru między dwoma tak mądrymi planami, dziwić się nie można temu, co nastąpiło. Najłatwiej jeszcze można było spreparować usunięcie przed terminem Zamory. Do tego celu posłużył znany przepis konstytucji, iż drugie rozwiązanie Parlamentu przez tego samego Prezydenta wymagało zatwierdzenia przez nowo wybraną Izbę. Więc kiedy w kraju szalały rozruchy, równocześnie odbywała się subtelna gra parlamentarna. Izba o większości lewicowej, wybrana dzięki rozwiązaniu Izby poprzedniej o większości prawicowej, uznała osobną uchwałą, że rozwiązanie było niepotrzebne. Prezydent Zamora ustąpił i na jego miejsce został wybrany w dniu 10 maja 1936 prezydentem Azana. Ale Indalecio Prieto nie miał nigdy zostać premierem.

Na razie kraj rewolucjonizował się co raz bardziej, a najgorszy przykład dawali sami socjaliści. Dochodziło wśród nich do bójek w Parlamencie, a do strzelaniny poza Parlamentem. Na zebraniu w Ecija w Andaluzji, Prieto ledwie uszedł z życiem pod ogniem własnych współtowarzyszy partyjnych. Przed wojną domową w całym kraju, wybuchła wojna domowa wśród socjalistów hiszpańskich. Jaki w niej od wewnątrz mieli udział komuniści, nikt na razie powiedzieć nie umie.

PRAWORZĄDNOŚĆ LEWICY

Na tle takich dobrych doktryn i realnych przykładów zaczął się rozwijać Faszyzm. Falanga hiszpańska założona została jeszcze dawniej, chyba w 1934 r. przez młodego Primo de Riverę, ideowca, ale i sceptycznego intelektualistę, który wyznawał pogląd, że świat zdąża ku komunizmowi i że najlepiej dla świata odbyć tę konieczną ewolucję poprzez ustrój autorytatywny. Wkrótce jednak, 11 lipca 1934, Primo de Rivera został aresztowany przez władze republikańskie i nigdy już z więzienia nie wyszedł, gdyż po wybuchu wojny domowej został zamordowany. Na razie, w 1936 r. po wyborach, miejsce jego w ruchu faszystowskim zajął niestary jeszcze polityk, b. minister skarbu w rządzie dyktatora Primo de Rivery, Calvo Sotelo. Wybrany w 1936 r. do Parlamentu współpracował tam doraźnie z Gil Roblesem, którego poglądów na taktykę polityczną nie podzielał. Dobry mowca w Parlamencie, wkrótce zdobył sobie duży rozgłos w kraju i nienawiść wszystkich "antyfaszystów".

W dniu 16 czerwca 1936 Gil Robles wygłosił mowę w Parlamencie, oskarżającą rząd o bezczynność wobec gwałtów rewolucyjnych. Wyliczył: 160 kościołów zniszczonych całkowicie i 251 uszkodzonych ogniem lub dynamitem; 269 osób zamordowanych i 1287 rannych w zamachach morderczych; 69 zdemolowanych i zniszczonych lokalów organizacyj politycznych; 113 strajków powszechnych i 228 strajków częściowych. Po nim wygłosił mowę Calvo Sotelo, utrzymaną w zakresie uprawnień posła do Parlamentu — opowiada Madariaga — ale jakże nieostrożną w tych gorących dniach. Kiedy skończył, posłanka komunistyczna, Dolores Ibarruri, znana lepiej pod przydomkiem La Pasionaria, krzyknęła: to twoja ostatnia mowa!

Organem utworzonym przez rządy republikańskie do utrzymania porządku publicznego były *guardias de asalto*, z samej nazwy już wzorowane na hitlerowskich szturmówkach. W szeregach tych szturmówek odznaczył się w walkach zbrojnych z falangistami w czasie pogrzebu oficera policji zastrzelonego przez socjalistów (pogrzeb urządzała Falanga) oficer nazwiskiem Castillo, znany ze swoich poglądów komunistycznych. W dniu 12 lipca 1936 w jasny dzień na ulicy Castillo został zastrzelony przez falangistów. Tej samej nocy poseł Calvo Sotelo poraz pierwszy od wielu tygodni nocował w swoim mieszkaniu. O 3 nad ranem grupa żołnierzy *guardias de asalto* pod dowództwem kpt. Moreno wywlokła go z mieszkania i uwiozła w samochodzie policyjnym Nr. 17. Trupa podziurawionego kulami szturmowcy republikańscy oddali wedle przepisów do urzędowej trupiarni. Rząd ograniczył się do osadzenia w areszcie szturmowców z kompanii, której dowódcą był Castillo i nie okazywał zbytniego przejęcia się sprawą. W pięć dni potem Armia Marokka wystąpiła z zamachem stanu. Wojna Domowa zaczęła się już także formalnie.

*

Oczywiście, nie należy myśleć, że gdyby nie zamordowanie Calvo Sotelo, wojna domowa by nie wybuchła. Morderstwo to było raczej objawem i skutkiem wszczętej już wojny domowej, niż jej przyczyną. Madariaga sądzi poza tym, że początek wojny domowej był sprawą czysto hiszpańską i znaduje swoje uzasadnienie w charakterze narodowym hiszpańskim i manowcach historii, która w czasach nowszych zwłaszcza nie dała Hiszpanii żadnego wielkiego politycznego wychowawcy. Za takiego Madariaga chce co prawda uważać filozofa i pedagoga XIX wieku Don Francisco Gino, który krzewił wśród swoich ziomków zasady umiarkowania, wyrozumiałości i kompromisu, a którego wpływy jednak przemogli dwaj inni Franciszkowie, Franco i Largo Caballero. Za właściwe zaś sprężyny i powody bezpośrednie wojny autor naszej książki uważa: związki zawodowe socjalistyczne i spiski wojskowe. Związkom zawodowym zarzuca, że stały się zdyscyplinowanym rewolucyjnym wojskiem, gotowym na skinięcie "wodza", Don Francisko Largo Caballero, korpusowi zaś oficerskiemu wytyka, że stał się jakby związkiem zawodowym polityków w mundurach. W rzeczy samej, jest nawet podobieństwo w nazwie. *Union General de Trabajadores* nazywało się wojsko dowodzone przez Largo Caballero, *Union Militar Espanola* nazywała się tajna organizacja wojskowa, która powstała bodaj po rugach Azani w 1932 r. i w której rolę kierowniczą odgrywali generałowie Franco, Goded, Mola i Sanjurjo. Tak jak związki zawodowe socjalistyczne nic nie robiły sobie ze stronnictw lewicowych, tak samo *Junta* wojskowa nie liczyła wiele nie tylko na parlamentarne grupy prawicowe, ale nawet na Falangę i *Requetes* tradycjonalistów karlistowskich w Nawarze. Wojsko hiszpańskie, względnie jego kierownicze koła, z pogardą odnosiło się do wszelkich "cywili" i dopiero zaskoczone oporem rządowców zwróciło baczniejszą uwagę na czysto polityczną stronę zagadnienia. Na razie chodziło nie o Monarchię, lub Republikę, lecz raczej o "zrobienie porządku".

Była więc u swojego zarania wojna domowa hiszpańska sprawą czysto hiszpańską i nie odbiegała jeszcze od tradycji ostatnich stu lat hiszpańskiej historii. Bezpośrednie wpływy zagraniczne po obu stronach były na razie nieznaczne. Rosji Sowieckiej zależało wtedy raczej na Frontach Ludowych, uchwalonych w sierpniu 1935 r. w Moskwie na ósmym kongresie Kominternu i proklamowanych tam przez Dymitrowa, niż na natychmiastowym wybuchu rewolucji. Koń trojański Frontu Ludowego miał być koniem drewnianym, a nie brykającym rumakiem, — zauważa zgryźliwie Madariaga. Skoro jednak Largo Caballero nie chciał czekać na logiczny proces materializmu dziejowego, czyli na instrukcje Kominternu, Moskwa dostosowała się znakomicie do sytuacji i zmieniła swoje dyspozycje.

Tak samo państwa faszystowskie: Włochy i Niemcy. Nie zależało im naprawdę ani na Monarchii, ani nawet na Falandze. Zależało im na wpływach w polityce i zasobach hiszpańskich, które spodziewali się osiągnąć we współpracy z Juntą wojskową. Kiedy jednak zamach stanu przerodził się w wojnę domową, i one stanęły do mety.

Na dowód jak mało sobie politycy hiszpańscy w początkach Republiki robili z wpływów zagranicznych, przytoczyć można, że exmonarchista Chapaprieta ostrzeżony jako premier, że sankcje przeciw Włochom w 1935 r. mogą doprowadzić do uwikłania Hiszpanii w konflikt zbrojny odpowiedział: "*Więc co? Podpisaliśmy pakt Ligi Narodów, czy nie? Skorośmy podpisali, to dotrzymujemy*". Natomiast premier Azana w parę miesięcy później mówił Madariadze oficjalnie: "*Musi Pan wywikłać nas z tego artykułu 16. Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego*". A nieoficjalnie: "*Co mnie obchodzi ten jakiś Negus*".

REWOLTA I REWOLUCJA

Rewolta wojskowa wybuchła najpierw w Melilli, w hiszpańskim Marokku, w dniu 17 lipca 1936. Natychmiast przyleciał tam z Wysp Kanaryjskich, pozyskanych już dla rewolty, Generał Franco. Majorkę na Morzu Śródziemnym opanował Generał Goded, który stąd udał się do Barcelony. Kiedy jednak w tym mieście komendant garnizonu okazał się lojalny wobec rządu, rewolta nie powiodła się, a Generał Goded został schwytany i rozstrzelany. Emigrant wtedy Generał Sanjurjo śpieszył z Portugalii, by wziąć udział w całej akcji, lecz zginął w wypadku samolotowym. Z *quadrumviratu* zostali więc generałowie Franco na południu i Mola na północy. Na razie proklamowana została oficjalna Junta wojskowa z generałem Cabanellasem na czele, w dniu 1 października 1936 został jednak Generał Franco ogłoszony naczelnikiem państwa i naczelnym wodzem. Podobno więcej tytułów do tej roli wśród generałów miał Mola. W każdym razie po stronie zrewoltowanych szybko doszło do jedności akcji i kierownictwa.

Inaczej było po stronie rządowej. Rząd miał za sobą ogromny atut praworządności, gdyby zechciał lub gdyby w ogóle był w stanie zeń korzystać. Po wyborze Azani Prezydentem w maju, premierem został drugorzędny polityk Casares Quiroga, gdyż wobec walki wewnętrznej wśród socjalistów gabinet Frontu Ludowego nie mógł dojść do skutku. Odpowiadało to na razie intencjom komunistów, którzy również we Francji woleli wtedy korzystać ze swobody działania w Parlamencie i w kraju, przelicytowując socjalistyczny rząd Bluma, a nie angażować się w żadne ściślejsze koalicje. Na wiadomość o wybuchu rewolty gabinet Casaresa Quirogi podał się do dymisji i teraz dopiero Azana dążył do utworzenia rządu szerszej koalicji narodowej, która by ratowała kraj. Premierem został radykał Martinez Barrio, który wziął udział w wyborczym bloku Frontu Ludowego. Równocześnie jedną tekę otrzymał lewicowiec z Akcji Republikańskiej, Felipe Sanchez Roman, który był przeciwnikiem Frontu Ludowego, oraz jedną tekę ofiarowano Gen. Moli. Podobne stanowisko Azani wcześniej mogło było oszczędzić Hiszpanii wojny domowej. Teraz było zapóźno — zwłaszcza, że Largo Caballero ogłosił, że takiemu rozwiązaniu "robotnicy"

przeciwstawią siłę zbrojną. Lewicy marksistowskiej nie zależało najzupełniej na praworządności i legalności: jej celem była rewolucja. Powstał słaby gabinet pod przewodnictwem Jose Giral z Akcji Republikańskiej Azani, a równocześnie różne ugrupowania lewicowe przystąpiły do "faktów dokonanych".

Rewolta wojskowa w Madrycie została zgnieciona dzięki wahaniom dowódcy oraz dlatego, że broń z arsenałów rozdano związkom zawodowym. Ale też natychmiast rząd i ministrowie musieli się obwarować w Ministerstwie Marynarki, niepewni dnia ani godziny. Powstały setki "rządów" lokalnych, z których każdy "uspołeczniał" natychmiast środki produkcji i tępił "wrogów ludu". Powstały setki "trybunałów rewolucyjnych". Księży zaczęto mordować nie za ich takie czy inne stanowisko polityczne, lecz z tego prostego powodu, że byli księżmi. Księży baskijskich, separatystów, prześladowali również nacjonaliści (taką nazwę przybrali na razie zrewoltowani), ale "rządowcy" ogłosili księży za wyjętych z pod prawa *ipso facto* i konsekwentnie zabronili kultu religijnego. Madariaga relacjonując o tym, nie szczędzi surowej krytyki klerowi hiszpańskiemu, ale uznaje otwarcie, iż żadne błędy polityczne kleru czy hierarchii nie usprawiedliwiają popełnianych zdrodni ani moralnie ani nawet tylko politycznie.

W Marynarce Wojennej jak się okazało zorganizowane były od dawna jaczejki komunistyczne, które natychmiast przystąpiły za znanym wzorem do masowego mordowania oficerów. Osłabiło to w wyniku Rewoltę wojskową, która zdołała opanować tylko jeden pancernik, dwa większe i dwa mniejsze krążowniki. Jeden pancernik, trzy krążowniki, 50 destroyerów i 10 okrętów podwodnych przeszło na stronę republikańską, ale wobec wymordowania oficerów flota ta niezdatna była do walki i wręcz nieużyteczna. Słabą pociechą dla strony rządowej była "uczciwość" morderców, którzy kabiny pomordowanych opieczętowali, nie zabrawszy z nich żadnego nawet drobiazgu.

Osobnym kotłem rewolucyjnym stała się Katalonia, w której oprócz lokalnego legalnego rządu autonomicznego (*Generalitat*) powstał osobny rewolucyjny Komitet Piętnastu, który nie oglądał się na konstytucję i ustawy. I tu tysięczne różne lokalne komitety przystąpiły do "kollektywizacji" przemysłu, handlu i rolnictwa. Najsilniejszą grupą rewolucyjną stali się anarcho-syndykaliści, którzy mając doświadczenie co dla rewolucjonistów posiada wartość największą, opanowali główne w kraju magazyny broni. Milicja C.N.T. (*Confederacion Nacional del Trabajo*) wysyłała lotne kolumny na wieś, by chłopom wyjaśnić konieczność rewolucji. Oznaczało to, naturalnie, zabijanie ludzi, palenie kościołów i niszczenie ksiąg hipotecznych. Celem bowiem tej gałęzi rewolucji było zniesienie państwa i wprowadzenie wolnościowego komunizmu.

Marksiści nigdy nie byli silni w Katalonii, ale teraz przystąpili do działania. Powstała partia mieniąca się socjalistyczną, ale należąca do Kominternu — P.S.U.C. (*Partido Socialista Unificado de Cataluna*), która głosiła konieczność utworzenia zdyscyplinowanej armii ludowej na miejsce różnych milicyj. Od razu było poznać, że ci ludzie korzystają z doświadczeń rewolucyjnych, nabytych gdzieindziej. Równocześnie jednak powstała konkurencyjna partia marksistowska P.O.U.M. (*Partido Obrero Unificado Marxista*), która walczyła o prawdziwy marksizm, to znaczy taki, jak go rozumiał — Trocki.

Nacjonaliści baskijscy okazali raz jeszcze do jakiego zaślepienia prowadzi separatyzm narodowościowy, nieuzasadniony historią ani geografią. Pół baskijska Nawara poszła za swą tradycją monarchiczną i nie wahała się ani chwili, ale Trzy Prowincje głęboko katolickie, stanęły przed ciężkim wyborem. Parlament madrycki pośpieszył czym prędzej z uchwaleniem odwlekanego od początku Republiki osobnego Statutu dla Trzech Prowincyj i Baskowie katolicy stanęli w jednym szeregu z anarchistami i komunistami. Zaślepienie separatystów baskijskich było tak wielkie, iż kiedy w pierwszej połowie 1937 r. doszło do rokowań w Paryżu między rządem generała Franco i przedstawicielami Basków, ci ostatni zażądali od Franca tego, czego nie żądali od Republiki: gwarancji ich autonomii przez inne mocarstwa. Wszystko jednak jest w Hiszpanii możliwe, tylko uleganie na stałe zagranicy jest niemożliwe.

Ogólnie, jeśli wrócimy do głównego wątku, terror panował po stronie praworządnej, t.j. "rządowej" Hiszpanii. Więzienia jeszcze raz zostały otwarte. Ponieważ amnestia powyborcza Azani opróżniła je z więźniów politycznych, wypuszczono teraz kryminalnych. Madariaga opowiada, jak sędzia Sądu Karnego nagle znalazł w swoim mieszkaniu zbrodniarza, którego skazał był na trzydzieści lat więzienia i jak ten zbrodniarz, przemieniwszy się teraz w milicjanta, zażądał najpierw kosztowności, a następnie zastrzelił sędziego w obecności jego żony i córki. Oczywiście terror był i po drugiej stronie, ale dla Hiszpanii słaba to była pociecha. Druga strona nie reprezentowała zresztą formalnie prawa, ale bunt. Natomiast chociaż rząd reprezentował prawo, terror po jego stronie dochodził granic masowego szaleństwa. W sierpniu rząd próbował skanalizować terror, gdyż opanować go nie mógł, i powołał do życia Trybunał Ludowy, złożony z trzech sędziów prawników oraz piętnastu przedstawicieli stronnictw politycznych i związków zawodowych, które tworzyły razem Front Ludowy!

Osobna wzmianka należy się manifestowi intelektualistów w obronie Republiki, którego podpisanie zostało na wielu przedstawicielach umysłowego życia kraju wymuszone. Tacy republikanie jak Don Jose Ortega y Gasset, Dr. Maranon i Don Ramon Perez de Ayala, którzy w 1931 założyli stowarzyszenie "Służby Republice", teraz uciekli zagranicę i swoje podpisy pod manifestem odwołali. Niektórzy z intelektualistów uciekali na stronę generała Franco, a stamtąd, po dodatkowym rozczarowaniu, zagranicę. Największy współczesny umysł hiszpański Don Miguel de Unamuno rozczarowany do Republiki powitał radośnie rewoltę wojskową, zobaczywszy jednak butnych Niemców w ulubionej swojej Salamance, umarł z żalu i zgryzoty. Bardziej jednak kompromitowała się strona rządowa, gdyż nawet posłowie parlamentarni i ministrowie z ugrupowań Frontu Ludowego uciekali zagranicę, ratując żywoty i oskarżając rewolucjonistów.

W pierwszych miesiącach wojny domowej po stronie rządowej zwracano o wiele baczniejszą uwagę na przeprowadzenie rewolucji, niż na odpór wojskowej rewolcie. W celu wyrównania istniejącej rozpiętości między rządem i ruchem rewolucyjnym Prezydent Azana zrobił tedy krok teoretycznie najzupełniej logiczny i powierzył tworzenie gabinetu Franciszkowi Largo Caballero. Było to w dniu 4 września 1936. Ministrem Spraw Zagranicznych przy Largo Caballero nie został jednak Araquistain, lecz Alvarez del Vayo. Widać było, że mężowie zaufania Moskwy przystępują do metodycznej pracy. Na razie jeszcze ministrem Marynarki i Lotnictwa został Indalecio Prieto, wtedy zwolennik paktu z komunistami, później zacięty ich przeciwnik. Wszedł też do Gabinetu jako Minister Skarbu nowy człowiek, też socjalista z legitymacji partyjnej, Dr. Juan Negrin. Profesor fizjologii na Uniwersytecie Madryckim, z kultury mieszczański postępowiec, nie zajmował się dotąd polityką i dlatego był dla *aparatczyków* moskiewskich, potrzebujących medium, *persona gratissima*. Wybór ich okazać się miał trafny — dla nich oczywiście. Mniej trafny okazał się ten wybór ze strony Largo Caballero, gdyż komuna przeznaczała Negrina na jego następcę.

Tak więc na hiszpańskiej Lewicy, jak i na Prawicy, zaczęły dochodzić do głosu wpływy zagraniczne, komunistyczne tu — faszystowskie tam.

INFILTRACJE I INTERWENCJE

Pierwsza faza wojny domowej trwa od 17 lipca 1936 do 8 listopada tegoż samego roku, kiedy to pierwsza *Międzynarodowa Brygada* wmaszerowała do Madrytu i dosłownie w ostatniej chwili zagrodziła drogę nacjonalistom. Z początku przewaga jakości wojskowej była po stronie Rewolty, która miała za sobą korpus oficerski wojsk lądowych, znaczną część personelu lotnictwa oraz większość żandarmerii — *Guardia Civil*. Strona rządowo-rewolucyjna mogła liczyć bezwzględnie tylko na *Guardia de Asalto*, część Guardia Civil i część korpusu oficerskiego oraz personelu lotnictwa. Sytuację w Marynarce Wojennej już przedstawialiśmy. Po stronie Rewolucji stanęły od razu bardzo liczne bojówki i milicje partyjne, nie nadawały się one jednak w pierwotnym swoim kształcie organizacyjnym do walk z wojskiem, choć wystąpienie ich od razu zamarkowało fakt dla nacjonalistów nieprzyjemny, a mianowicie, że rewolta wojskowa nie miała być wygrana przez *walk-over*. Gdy więc wytworzyła się równowaga sił, obie strony oglądnęły się za pomocą z zewnątrz, która zresztą była im wprost podsuwana.

Najpierw stwierdzona została pomoc lotnictwa włoskiego dla nacjonalistów, która umożliwiła im przesunięcie realnych sił z Marokka do Hiszpanii bez ryzyka walki z okrętami rewolucyjnymi w cieśninie. Była to mała pomoc. Najlepszy dowód, że Largo Caballero mógł kazać własnemu lotnictwu bombardować bezkarnie przez trzy dni Toledo we wrześniu 1936. (Madariaga stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że pierwsi zaczęli bombardować miasta rewolucjoniści, choć to oczywiście nie rozgrzesza nacjonalistów, którzy sięgnęli tu po pomoc niemiecką). W sierpniu już kilkanaście Niemców latało dla Franco, a jeszcze więcej pracowało na ziemi w warsztatach i montowniach. Ale w sierpniu czynna też już była po stronie rewolucyjnej Legia Cudzoziemska Lotnicza, dowodzona przez słynnego Francuza André Malraux. Minister Lotnictwa Republiki Francuskiej, p. Pierre Cot, dostarczył z francuskich zapasów rządowych i prywatnych 70 maszyn w 1936 r. i 30 w 1937. W drugiej połowie października nacjonaliści zaczęli używać niedużych czołgów włoskich i w tym samym miesiącu pokazały się po stronie rewolucyjnej czołgi rosyjskie. We wrześniu już byli w Madrycie generałowie i oficerowie rosyjskiego Sztabu Generalnego, którzy zresztą mieli kierować działaniami po tej stronie do końca wojny. Najpierw byli doradcami tylko, ekspertami, później zaczęli dysponować.[2)]

Franco mógł wziąć Madryt swoimi nieznacznymi na początku, ale dobrze wyszkolonymi i szybkimi, siłami już we wrześniu, ale

z powodów raczej uczuciowych wolał dać odsiecz oblężonym nacjonalistom w Alcazarze. Marsz na Madryt odwlókł się więc do listopada. Generał Mola ukuł wtedy zdanie, które weszło następnie do słowników całego świata; *cztery kolumny nacjonalistów* — oświadczył — *osaczają już Madryt, a piąta czeka w Madrycie.* W istocie była tam ona i zagrała nawet swą kartę w marcu 1939 r. Na razie jednak Largo Caballero dobrał do swoich socjalistów i komunistów w Gabinecie jeszcze anarcho-syndykalistów, a Międzynarodowa Brygada obroniła stolicę Hiszpanii przed zbuntowanymi Hiszpanami i pomagającymi im Maurami. W dniu 18 listopada 1936 Niemcy i Włochy uznały rząd generała Franco — na parę dni, jak sądziły, na dwa i pół lat, jak się okazało, przed upadkiem Madrytu.

Taki rozwój wojny domowej w Hiszpanii musiał dać do myślenia wszystkim mocarstwom. Problem był niesłychanie skomplikowany i nie będziemy go tu przedstawiać szczegółowo od strony międzynarodowej. Poruszymy tylko aspekty najważniejsze.

We Francji była duża sympatia dla Republiki hiszpańskiej, niewielka jednak dla zaczynającej się za Pirenejami rewolucji społecznej. Poza tym Francja była niezdolna do dłuższego wyścigu z Niemcami i Włochami w wysyłaniu materiału wojennego do Hiszpanii. Wystąpiła więc z inicjatywą nieinterwencji, którą wymyślił człowiek tak niepodejrzany o sympatie faszystowskie, jak stały podsekretarz stanu na Quai d'Orsay, p. Alexis Léger. Miała to być nieinterwencja ograniczona do materiałów wojennych, nie do ochotników, na co nastawały Włochy i Niemcy. Premier Blum jednak się uparł, gdyż sądził, zdaje się, że w państwach totalitarnych nie będzie ochotników na wojnę zagranicą. Zapomniał o tym, że dyktatorzy mogą mieć tylu "ochotników", ile ich odkomenderują.

Dla Niemiec i Włoch nie było ważne, żeby zwyciężyła w Hiszpanii akurat Falanga. Im wystarczała zaprzyjaźniona z nimi Junta wojskowa, byle nie ulegająca wpływom Wielkiej Brytanii i Francji. Natomiast Rosję mógł zadowolić tylko komunizm, gdyż nie ma innej formy rządu, która by mogła ściślej współpracować z komunizmem rosyjskim. Dlatego też wpływ faszystowski nie rósł tak prędko po stronie wojskowej, jak wpływ komunistyczny po stronie rewolucyjnej. Ponieważ zaś rewolucja hiszpańska była zbyt wielogłowa, żeby rozumieć dobrze materializm dziejowy (czytaj: instrukcje z Moskwy), więc też komunistom potrzeba było czasu, żeby wszystko należycie od wewnątrz przetrawić i urządzić. Stąd też żadne próby pogodzenia obu stron walczących nie mogły odpowiadać komunistom. Pogodzona Hiszpania mogła szukać oparcia we Wielkiej Brytanii lub Francji, na Rosję mogła oglądać się tylko Hiszpania komunistyczna. Gdyby zaś do niej dojść nie mogło, to i tak atut hiszpański mógł się przydać czy w ogólnej konflagracji wojennej, której zbliżanie się Moskwa widziała, czy w grze taktycznej z Hitlerem, tak umiejętnie z Moskwy prowadzonej. Wojna domowa musiała być więc rozegrana do końca, zwłaszcza przy takim poziomie politycznym przywódców republikańskich, jaki już poznaliśmy. Czas zaś trwania mógł być, i był, umiejętnie regulowany przez tych, którzy dostarczali broni, oficerów, techników wojskowych i zwyczajnych ochotników.

Ilość Włochów na ziemi hiszpańskiej wynosiła do 40 tysięcy, choć o zmiennej dla nich fortunie wojennej wiele dałoby się powiedzieć; czasem ich porażki wzmacniały nawet wpływ generała Franco, bo obniżały wpływ Falangi. Liczba fachowców i kombatantów niemieckich różnego rodzaju sięgała podobno od 6 do 10 tysięcy, liczba żołnierzy obu Brygad Międzynarodowych po stronie rewolucyjnej do 40 tysięcy, w tym 3 tysiące ze Stanów Zjednoczonych (Madariaga nie wymienia Polaków, zaliczając ich zdaje się na rachunek francuski). Liczba fachowców rosyjskich oceniana jest na 6 tysięcy, z czego jednak niezawsze cała ta ilość była na miejscu. Po jednym roku wojny domowej w Hiszpanii i pół roku układu o nieinterwencji między sześciu państwami (5 wielkich mocarstw i Portugalia) Winston Churchill mógł zauważyć cierpko, że tylko Francja jest neutralna, Wielka Brytania zaś "ściśle neutralna".

JAK PRACOWALI KOMUNIŚCI W RZĄDZIE

W rządzie Largo Caballero było tylko dwu przedstawicieli Partii Komunistycznej na mniej ważnych stanowiskach. Był jednak Alvarez del Vayo rzekomy socjalista, który oprócz teki Spraw Zagranicznych objął też wkrótce funkcję Komisarza Politycznego Rządu dla spraw Armii. Stanowisko to utworzono wedle znanych wzorów, pomimo, a raczej właśnie dlatego, że sam Largo Caballero był Ministrem Spraw Wojskowych, a Indalecio Prieto Ministrem Marynarki i Lotnictwa. Ponieważ zaś wprowadzono w siłach zbrojnych instytucję komisarzy politycznych przy oddziałach, mianował ich z natury rzeczy Alvarez del Vayo.

Poza tym komuniści zaczęli opanowywać Siły Zbrojne wprost od strony wojskowej. Sztab rosyjskich "ekspertów" przeprowadził reformę wojska, często wbrew sprzeciwom oficerów hiszpańskich. Miały one swój sens wojskowy. Wprowadzały one jako zasadniczą jednostkę taktyczną "Armii Rewolucyjnej" t.zw. brygadę mieszaną, złożoną przeważnie z czterech batalionów piechoty oraz kilku kompanij broni specjalnych. Brygad hiszpańskich było na początek sześć i dwie międzynarodowe. Z tych ośmiu jednostek pięć miało od razu dowódców komunistów. Specjalną hiszpańską jednostką komunistyczną był "Piąty Pułk" (w armii hiszpańskiej "pułk" odpowiada właśnie brygadzie), całkowicie komunistyczny. Najciekawsze jednak jest może to, że lotnictwo oraz osobne jednostki czołgów w ogóle nie podlegały kontroli hiszpańskiej, tylko wyłącznie rosyjskiej. Niektóre lotniska tak były "tajne", że nie wiedział nic o nich Minister Spraw Wojskowych Largo Caballero, ani Sztab hiszpański, ani nawet dowódcy w polu, w rejonie których lotniska te się znajdowały.[3)]

Dla uzupełnienia obrazu zaznaczyć trzeba, że w obradach Gabinetu brał zwykle udział poseł sowiecki w Madrycie Marcel Rosenberg, który zwykle odbywał swoje narady z hiszpańskimi ministrami w towarzystwie gromady własnych ekspertów, nalegając przede wszystkim na mianowanie w różnych działach administracji państwowej komisarzy komunistów. Ponieważ zaś Marcel Rosenberg nie umiał po hiszpańsku, tłumaczem na posiedzeniach i w rozmowach był Alvarez del Vayo.

Linią postępowania komunistów w Hiszpanii było wtedy uzyskanie całkowitego wpływu na Largo Caballero. Było to zadanie trudne gdyż "hiszpański Lenin" był człowiekiem dumnym i ambitnym. Więc posunięto się aż tak daleko, iż w grudniu 1936 towarzysz Rosenberg przywiózł z Moskwy towarzyszowi Largo Caballero list odręczny od Stalina, Mołotowa i Woroszyłowa. List ten został opublikowany po zakończeniu wojny domowej przez jednego z najbliższych współpracowników Largo Caballero, socjalistycznego polityka i wtedy ambasadora rewolucyjnej Hiszpanii w Paryżu, Don Luis Araquistaina. Madariaga załącza list w pełnym tekście i w języku, w którym został napisany (po francusku) w załącznikach do swojej pracy, więc też go tu nie analizujemy zbyt szczegółowo. List wyłuszczał od razu o co chodzi, więc też nie wspominał wcale o głównym celu walki umiarkowanej lewicy hiszpańskiej, t.j. o obronie republikańsko-parlamentarnej formy rządu. Stawiał on sprawę jasno, iż chodzi o rewolucję społeczną, marksistowską, i udzielał rad premierowi rewolucyjnej Hiszpanii, rad za którymi stało większe doświadczenie autorów listu w tych sprawach. List kładł szczególny nacisk na konieczność pozyskania chłopów do walki czynnej i partyzantki przez wydanie odpowiednich "dekretów" rolnych i podatkowych. Równocześnie list radził, żeby nie odstraszać "średniej i niższej burżuazji" przez konfiskaty i reglamentacje zawodowo-gospodarcze oraz żeby dbać o współpracę polityczną z Akcją Republikańską Azani, "gdyż to jest konieczne do przeszkodzenia nieprzyjaciołom Hiszpanii w określaniu, jej jako republiki komunistycznej", i wreszcie: żeby zamarkować publicznie, iż własność i interesy cudzoziemców z państw nie podtrzymujących "rebeliantów" zostaną uszanowane. Jak widzimy, list zawierał bardzo ciekawe rady co do taktyki politycznej i świadczy bardzo dobitnie o braku wszelkich uprzedzeń środowiska komunistycznego w dążeniu do celu.

Pomimo takiej przyjaźni Largo Caballero buntował się co raz bardziej. Doszło do konfliktu głównie na tle mianowania komisarzy politycznych w Armii, gdyż Alvarez del Vayo wybierał samych komunistów. Sam główny Komisarz Polityczny nie mógł być wysunięty na premiera, gdyż zanadto odsłonił karty. Więc też wybór komunistyczny padł na Dr. Negrina, człowieka, który późno przyszedł do polityki, był energiczny i w pełni jeszcze sił życiowych, ale znał się dotąd tylko na fizjologii. Był ambitny, nie miał żadnej przeszłości politycznej za sobą, a przed sobą tylko tę, którą mu mogli ofiarować komuniści. Jako profesor uniwersytetu miał za sobą nazwisko i stanowisko szanowane zarówno w ustroju kapitalistycznym, jak i komunistycznym.

Najpierw jednak Dr Negrin musiał być związany i uzależniony. Stało się to od strony zabezpieczenia złota hiszpańskiego. Dr. Negrin, jako Minister Skarbu, był na tyle nieostrożny i naiwny, iż zgodził się na wywiezienie hiszpańskiego złota do Moskwy. W dniu 25 października 1936 r. skrzynie ze złotem hiszpańskim wartości przeszło 63 milionów funtów szterlingów odpłynęły z Kartageny. Urzędnicy Banku Hiszpańskiego, eskortujący transport, sądzili, że jadą do Francji. W dniu 6 listopada dojechano do Moskwy. Sprawdzanie, ważenie i liczenie hiszpańskiego złota trwało czas bardzo długi. Urzędnicy hiszpańscy, nie znający dalekiego kraju, niecierpliwili się bezskutecznie. Po dwu latach wyjechali z Moskwy i zostali "wysadzeni": jeden w Sztokholmie, drugi w Buenos-Aires, trzeci w Waszyngtonie i czwarty w Meksyku. Dygnitarze sowieccy z którymi Hiszpanie załatwiali sprawy depozytu, w tajemniczy sposób poznikali. Depozyt nigdy nie został zwrócony. Dr. Negrin zaprzeczył nawet później, że złoto wysłane zostało w ogóle do Moskwy. Ale Don Indalecio Prieto twierdzi, że tak było a był on sam w tym czasie Ministrem Marynarki i Lotnictwa.

Komuniści zaczęli atak na Largo Caballero od strony niepowodzeń frontowych. Oskarżyli najpierw o niedbalstwo i wtrącili do więzienia zastępcę Largo Caballero w Ministerstwie Wojny: gen. Asensio. Largo Caballero pokłócił się i wskazał drzwi posłowi Rosenbergowi. Przyszedł na jego miejsce p. Gajkis, co jednakże nie stało się zwycięstwem Largo Caballero. W 1937 r. hiszpański Sztab zaproponował ofenzywę na Badajoz, by przeciąć siły nacjonalistów na dwoje. Armia Centralna, pod dowództwem i wpływami komunistycznymi, sprzeciwiła się, proponując ofenzywę na Brunete. Kiedy Largo Caballero podtrzymał sztab hiszpański i zażądał w formie rozkazu siedmiu brygad do operacji z Armii Środkowej, Rosjanie wyszli z ukrycia i oświadczyli wprost, że do tej operacji nie dadzą lotnictwa ani wojsk pancernych.

Kiedy równocześnie dwu ministrów komunistycznych podało się do dymisji, by wywołać formalny kryzys, Largo Cabballero, bezsilny musiał ustąpić. Dla zapewnienia sobie pomocy i dostaw rosyjskich dostosowano się do wskazówek z Moskwy co do składu Gabinetu. Na czele jego stanął Dr. Negrin, ale zresztą Gabinet nie miał jeszcze wybitnej marki komunistycznej. Większe wpływy uzyskał nawet Prieto, który został Ministrem Obrony. Ministrem Spraw Zagr. został nawet nie Alvarez del Vayo, ale przyjaciel Azanii, Giral. Był to maj 1937 r. Najbliższym zadaniem komunistów było uzyskać dalszy wpływ na Negrina i wyrugować Prieto.

Zdaje się, że w tym czasie politycy sowieccy zaczęli się zastanawiać, czy linia polityczna reprezentowana przez Litwinowa, udział w Lidze Narodów i Fronty Ludowe, ma jeszcze sens z punktu widzenia zamierzeń sowieckich. Horyzont polityczny zaczął się zdecydowanie zaciemniać, a wedle wszelkich danych Sowiety były jeszcze nie gotowe. Chodziło więc o zapewnienie sobie jeszcze większego wpływu na zdarzenia w Hiszpanii, żeby je kontrolować zależnie od potrzeb i celów taktycznych. Zdaje się, że przede wszystkim chodziło o to, żeby wojna domowa w Hiszpanii nie zakończyła się jakimś kompromisem i żeby nie przestała przez to być atutem w grze międzynarodowej.

Z tego by wynikało, iż należało zdobywać wpływ dla żywiołów skrajnych, a polityce komunistycznej powolnych. Najważniejszym zapleczem żywiołów rewolucyjnych stała się teraz Katalonia. W Barcelonie rezydował rząd centralny Republiki. Terror komunistyczny stał się tu więc bardzo żywy. Zamordowany został m.i. Andrés Nin, przywódca trockistowskiej *Partido Obrero Unificado Marxista*. Specjalne *Tribunales de Espionaje* oraz *Tribunales de Guardia* pośpiesznie skazywały na śmierć wiele ludzi. Sam Minister Sprawiedliwości, Don Manuel Irujo, Baskijczyk, podał się do dymisji na znak protestu przeciw terrorowi.

Równocześnie Indalecio Prieto próbował ograniczać od wewnątrz wpływ komunistów. W czerwcu 1937 r., zabronił propagandy politycznej w Armii, w listopadzie zniósł system komisarzy politycznych i pozbawił tego urzędu z ramienia rządu Alvareza del Vayo. Rosjanie reagowali ograniczaniem dostaw.

Sytuacja na frontach stawała się co raz gorsza. W kwietniu 1938 r. Dr. Negrin poleciał do Paryża starać się o pomoc rządową francuską w uzbrojeniu ogólnym, lotnictwie i żywności. Pomocy nie uzyskał, ale zorganizował ściślejszą współpracę z francuską Partią Komunistyczną, której oddał na zakupy — podaje Indalecio Prieto — 2 miliardy i 500 milionów franków, nie zapewniając żadnej rządowej hiszpańskiej kontroli nad tymi funduszami. Jednym z dalszych objawów tej "współpracy" było, że duże kwoty francuscy komuniści zatrzymali na swoje cele; m.i. zakupili na własność dla swojej partii 12 okrętów towarowych, tworząc w tym celu osobne towarzystwo żeglugi i wręcz odmawiając potem w tej sprawie wszelkich uprawnień rządowym czynnikom hiszpańskim.

W celu przeszkodzenia ewentualnemu kompromisowi obu stron wojujących hiszpańskich komuniści wywołali znowu kryzys rządowy. Minister Wychowania z ich ramienia, towarzysz Jezus Hernandez, atakował w prasie swojego kolegę z rządu Indalecio Prieto. Dostawy z Rosji dalszym ciągu malały. Prezydent Azana stawał się co raz bardziej więźniem kliki komunistycznej. Powstał nowy rząd Negrina bez Indaleco Prieto. Podsekretarzami stanu Wojska, Marynarki i Lotnictwa zostali komuniści, Ministrem Spraw Zagranicznych zosta, Alvarez del Vayo, którego zastępcą został też komunista. Jezus Hernandez został komisarzem politycznym Armii Centralnej, tworzącej cztery piąte całości sił zbrojnych. Dostawy zaczęły płynąć z regularnością maszynerii zegarka. Barcelona niebroniona dotąd przeciw nalotom niemieckim zobaczyła nagle silne formacje lotnicze rosyjskie. Wojna trwała dalej. Był to kwiecień 1938 r.

W sierpniu 1938 r. doszło do następnego kryzysu, którego celem było zdaje się przeszkodzenie jakimś rokowaniom o pokój. Prezydent Azana rozważał zdaje się możliwość utworzenia Gabinetu z socjalistą Julianem Bosteiro na czele, człowiekiem dużej szlachetności, z celem spróbowania rokowań z przeciwnikami. Dr. Negrin sprowokował kryzys. Zażądał zatwierdzenia 58 wyroków śmierci zawieszonych przez rząd zaniepokojony działalnością "trybunałów". Kiedy gazety podały wiadomości o kryzysie, od oddziałów dowodzonych przez komunistów zaczęły napływać telegramy, oddające jednostki owe do dyspozycji Negrinowi. W samej Barcelonie siły lotnicze i pancerne kontrolowane wyłącznie przez Rosjan zorganizowały równocześnie wielki popis publiczny. Manifestacja osiągnęła swój cel: Negrin został jeszcze raz premierem, co w tych okolicznościach oznaczało — dyktaturę.

*

Pomimo tytułu "*Wojna Domowa*" wcale nie postawiliśmy sobie zadania przedstawić tu cały obraz hiszpańskiej wojny domowej w tym artykule. Raczej obowiązywał nas wedle zamiarów pierwszy tytuł pierwszego artykułu: "*Doświadczenia hiszpańskie*", przy czym mieliśmy tu na myśli głównie doświadczenia po stronie republikańsko-rządowej, która zresztą bardzo rychło utraciła prawo do tego tytułu, stając się z rządu całej Hiszpanii tylko wyrazicielką hiszpańskich z początku, zagranicznych następnie, dążeń rewolucyjnych.

I dlatego nie zamierzam tu przytaczać szczegółów i wydarzeń, które nie mają kluczowego znaczenia dla hiszpańskiej tragedii, lub które są powszechnie znane. Przy końcu 1938 r. Generał Franco przeprowadził potężną ofenzywę na Barcelonę, do której wojska nacjonalistyczne weszły w dniu 26 stycznia 1939 r. Oba rządy — centralny i kataloński — uszły do Paryża. Dr. Negrin i jego komuniści, z dużą odwagą osobistą, podtrzymywali nadal walkę. Kogóż jednak reprezentował teraz Dr. Negrin? Prezydent Azana był w Paryżu i w dniu 28 lutego 1939 r. zrezygnował na wiadomość, że Wielka Brytania i Francja uznały rząd Generała Franco. Prezydenci rządów baskijskiego i katalońskiego, pp. Aguirre i Companys, byli w Paryżu. Prezydent Cortesów Don Martinez Barrio był również w Paryżu.

Opierał się jeszcze bez żadnej nadziei oblężony Madryt. Wytrwał w Madrycie z polityków socjalista Julian Besteiro, który — jedyny z wybitnych republikanów — nie schronił się zagranicę i jedyny wrócił z misji zagranicznej do kraju, po udziale w koronacji Króla angielskiego. Po przepojonych wzajemną nieufnością rokowaniach wewnętrznych wśród obrońców z udziałem Besteiro, Generała Miaja, Pułkownika Cassado, Dr. Negrina i innych wybuchły w Madrycie walki republikanów z komunistami. Komuniści zostali pobici, zwolennicy rokowań i zaprzestania walki — zwyciężyli. W dniu 26 marca 1939r proklamowano kapitulację.

"Doświadczenia hiszpańskie" były by pełne dopiero wtedy, gdyby było dostępne przedstawienie prawdziwego stanu rzeczy również po stronie nacjonalistycznej. Madariaga daje na ten temat uwagi bardzo interesujące, ale tylko szczątkowe. Wypada jednak z nich niezbicie, że trudne zadanie pojednania skrwawionego kraju nie zostało po stronie nacjonalistycznej docenione ani należycie i mądrze przeprowadzone. Mądrość zwycięzcy leży w umiarkowaniu. Nie stać było na to Hiszpanii narodowej, podobnie jak nie stać było w sytuacjach podobnych Republiki. Pewnie, w wojnie domowej zamordowano ponad 800 tysięcy ludzi wedle ocen optymistycznych, zbrodniarzy było dużo po stronie czerwonej i typy takie jak Jose Puig Lazaro, murarz, anarchista i kapitan milicji republikańskiej, który sam "skazał" na śmierć 600 ludzi zasługiwały na sąd doraźny. Ale trzeba było unikać skazywania na śmierć ludzi, którzy mogli popełniać błędy i napewno je popełniali, ale którym właściwie można było zarzucić przed sądem tylko odmienne pojmowanie polityki. Na szczęście dużo hiszpańskich polityków republikańskich uszło zagranicę i nie dostarczyło nacjonalistom sposobności do załatwienia porachunków politycznych przez zemstę.

Próbą dziś dla całej Europy i całej cywilizacji będzie umiejętność wyrugowania obcych, pogańskich i materialistycznych, wpływów politycznych oraz przeprowadzenie normalizacji stosunków bez szubienic i plutonów egzekucyjnych, bez czerwieni krwi i łun pożarów; bez europejskiej wojny domowej.

MARIAN E. ROJEK

---

1) Vide Nr. 65 "Myśli Polskiej" — artykuł p.t. "Doświadczenia hiszpańskie" Oba artykuły na podstawie książki SPAIN Salvadora de Madariagi Hon. Fellow of Exeter College, Oxford), London 1942, nakładem Jonathan Cape.

2) Od września 1936 — pisze Madariaga — w hiszpańskim Ministerstwie Wojny zasiadł na stałe osobny rosyjski Sztab Generalny pod kierownictwem Gen. Goriewa. Pozwolimy tu sobie dodać dwa dalsze nazwiska wybitnych oficerów rosyjskich w Hiszpanii w tym czasie. Jednym z nich jest Gen. Paweł Swierczewskij, obecny zastępca Berlinga, występujący wtedy w Hiszpanii pod pseudonimem Karol Walter. Drugim jest bohater obrony Stalingradu Generał Rodimcew, który w lutym 1934 opowiadał w Moskwie korespondentom zagranicznym o swoich walkach w Hiszpanii. Od tej pory zresztą nic nie słychać o Generale Rodimcewie.

3) Nie można tu się oprzeć porównaniu z rosyjskim ustrojem rolnym. Kołchoźnicy nominalnie dzierżą ziemię i narzędzia pracy, ale traktory i inne większe maszyny nie znajdują się na kołchozach lecz zgrupowane w t. zw "Motorno-Traktornych Stancjach", są tylko kołchozom przez państwo wydzierżawiane. Mogą one być doskonałym środkiem nacisku na producentów choć do tej ostateczności zazwyczaj nie dochodzi.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

OSTRA BRAMA[1)]

Panno Święta, co Jasnej bronisz
Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie . . .
("Pan Tadeusz")

Tak : zwykła miejska ulica
i prosta ponad nią brama,
lecz z nad niej chyli Swe lica
Ona — Gwiaździsta — Ta Sama . . .

Ta Sama, co od prawieka
wciąż w Ostrej świeci Bramie,
Piastunka Boga-Człowieka,
w obronnych ścian załamie.

Pysznego nie ma kościoła
i tylko światłem się jarzy
i gwiazd diademem — dokoła
schylonej na dół twarzy.

Lud udręczony nierzadko
tam na kolanach spływa,
i jest mu Jedyną Matką.
Kojąca i Boleściwa.

Karaim, Tatar, Żydowin
przed Jej słodyczą się korzy.
Jej — człek z puszczańskich borowin
nieufne serce otworzy.

I wiedzą świątynie Wilna,
iż da im przetrwać do chwili,
gdy — Sprawiedliwie Niemylna —
Swe dłonie ku nim schyli.

Wzlatują ku Niej pacierze
i krwią nabiegłe modlitwy
jednego w naddziadów wierze
ludu Korony i Litwy.

Jej — vota swoje orężne
wiernymi składa ramiony —
przed Wielką Błękitną Księżnę
Królowę Wiecznej Korony.

1) **Na odsłonięcie wotywnej plakiety w dniu 15 marca 1944 r. z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, ufundowanej w rzymsko-katolickiej Katedrze Westminsterskiej w Londynie przez Wileński Dywizjon Myśliwski na intencję powrotu Wilna do Polski.**

NOTY I UWAGI

PRZYCZYNKI DO SYTUACJI

Na tle zatargu sowiecko-polskiego, względnie zamiarów sowieckich wobec Europy na odcinku polskim, zanotować należy, iż premier Związku Sowieckiego Marsz. Stalin nie odpowiedział jeszcze na list premiera Wielkiej Brytanii, p. Churchilla, wysłany po znanym przemówieniu w Parlamencie. W każdym razie, jak pisze dobrze poinformowany *Observer* z dnia 12 marca 1944, odpowiedź ta jeszcze do Londynu nie nadeszła, a nadszedł natomiast raport ambasadora brytyjskiego w Moskwie, Sir Archibalda Clark Kerra, z rozmowy odbytej z Premierem sowieckim na temat listu Premiera brytyjskiego. Stalin miał wyrazić się negatywnie o propozycjach Rządu polskiego ustanowienia "linii demarkacyjnej" na ziemiach polskich na wschód od Lwowa i Wilna, mającej oddzielać strefę administracji wojskowej spowieckiej od strefy administracji polskiej. Stalin oświadczył przy tej sposobności że tylko rekonstrukcja Rządu polskiego i najwyższych władz wojskowych w myśl życzeń Moskwy oraz przyjęcie bez zastrzeżeń linii Curzona jako granicy sowiecko-polskiej może stanowić podstawę do nawiązania stosunków dyplomatycznych.

W ten sposób jeszcze raz stało się widoczne, że Rząd Związku Sowieckiego nie dał się przebłagać ustępliwością polską i że Rząd polski nie tylko nie uzyskał żadnych korzyści przez rezygnację z zasady integralności, lecz wręcz przeciwnie — wyrządził tylko znaczną szkodę.

Żeby nie było już żadnych wątpliwości co do stanowiska Rządu polskiego zanotujemy jeszcze, iż w pół-oficjalnym *Dzienniku Polskim* z dnia 11 marca 1944 ukazało się na str. 2 pół-oficjalne oświadczenie o ostatnich propozycjach Rządu polskiego pod adresem Rządu sowieckiego. Przed tym *Dziennik Polski* cytował tylko pogłoski z prasy brytyjskiej i nie informował od siebie o tych sprawach. Ponieważ zaś nie było też żadnego *oficjalnego* oświadczenia ze strony polskiej co do "linii demarkacyjnej" więc możliwe jeszcze było łudzenie opinii publicznej, iż Rząd nasz jednak broni integralności Rzeczypospolitej.

Dalszym interesującym przyczynkiem do sytuacji jest "pogłoska" w tymże *Observerze*, iż jeden z Ministrów polskich w Londynie wypowiedział się jakoby, że granica na linii Curzona byłaby dla Polski na dłuższą metę pożyteczna, gdyż wzmacniałaby wewnętrzną zwartość państwa polskiego. *Dziennik Polski* zaprzeczył tej pogłosce, ale *Dziennik* zwykł zaprzeczać wielu pogłoskom, które się następnie sprawdzały. Nie ulega wątpliwości, że takie stanowisko któregokolwiek z ministrów kwalifikowałoby się jako naruszenie przysięgi obywatelskiej i ministerialnej i nadawałoby się do takiego postępowania, jakie w Algierze Francuzi wytoczyli byli jednemu z b. ministrów. Największą trudnością byłby tu fakt, iż Francuzi mogli przeprowadzić postępowanie sądowe na swoim terytorium narodowym.

BŁĄD PSYCHOLOGICZNY

Znany polityk rumuński, V. V. Tilea, zajmuje się na łamach *The Contemporary Review* sytuacją światową i podstawami przyszłego pokoju. Dużą część swych rozważań poświęca i konfliktowi polsko-rosyjskiemu. Uwagi te potwierdzają nasze stałe mniemanie, iż nie idzie w tym konflikcie tylko o Polskę, a cała Europa jest tutaj w grze.

Po domniemanej idylli w Moskwie i Teheranie przyszły wnet gwałtowne rozczarowania, pisze p. Tilea. "Trudności zjawiły się wnet dzięki wciąż jeszcze niewyjaśnionej odmowie Rządu rosyjskiego, by wejść w rokowania z Rządem polskim (*emigre* Polish Government) na temat zachodnich granic Rosji. Odmowa ta dotyczyła i udziału Wielkiej Brytanii i Ameryki w tych dyskusjach. Odmowa ta była tym dramatyczniejsza, że się zbiegła z ogłoszonymi w *Prawdzie* oskarżeniami o domniemanych rozmowach pokojowych między Wielką Brytanią a Niemcami. Można uważać za pewne (one can take it for granted), że p. Eden nie byłby podjął się delikatnej misji przekonania Rządu Polskiego o wszczęciu dyskusyj dotyczących 47.7% polskiego terytorium i 35,6% polskiej ludności — gdyby nie miał zapewnienia ze strony Rządu rosyjskiego, iż jego dobre usługi zostadą wdzięcznie przyjęte. Jest również nie do pomyślenia, by odpowiedź polska była wręczona przez p. Edena ambasadorowi sowieckiemu bez uprzedniej pewności, iż Moskwa ten temat przyjmie. W tej właśnie różnicy metod, niezwykłych w krajach zachodnich, a również i w niezasłużonej podejrzliwości wobec lojalnego alianta, należy szukać źródeł powszechnego, choć mniej lub więcej wstrzymywanego protestu, który ogarnął całą opinię publiczną anglo-saską od lewicowej *Tribune* po progresywnego *Observera* czy konserwatywnego *Daily Telegraph*'a. Można w tym było widzieć rozczarowanie, że, tak wcześnie po Teherańskiej deklaracji o "wspólnej kollaboracji", Rosja tak brutalnie ujawniła, iż w materiach obchodzących ją, nie uzna żadnej współpracy. Było to tym bardziej zadziwiające, że następowało to po dwu i pół latach — "delicacy of touch", delikatnego ze strony Wielkiej Brytanii postępowania, — by użyć terminu Harolda Nicolsona na określenie pojęcia *appeasement* . . . Cały ten przebieg zdarzeń wyjawia raz jeszcze, jak ważną jest rzeczą w sprawach międzynarodowych, by unikać psychologicznych błędów. Hitler rozpoczął wojnę, bo sądził, że Wielka Brytania do niej nie stanie. I on i jego doradcy dopuścili się psychologicznej pomyłki sądząc, że postawa i ton dżentelmena, stosowane przez brytyjskich mężów stanu, oznaczają jeno słabość . . .

"Czyżby Moskwa dziś miała popełnić błąd podobny ?"

Tymczasem — triumfuje tylko propaganda niemiecka :

"Trąbi oto ona na całą ujarzmioną Europę i na cały świat, że — "Anglia zdradziła swego alianta i Bałkany" — że — "w Teheranie podzielono Europę na sfery wpływów" — że "zasady Karty Atlantyckiej zostały zarzucone" — że — "Aliantom brak logicznej jedności. jedności celów, uczciwości działania i ideologicznej solidarności" — że — "Moskwa uzyskała lwią część w układaniu powojennego świata" —, że jest to — "znak tradycyjnego imperializmu rosyjskiego" — i że wreszcie — "w czasie rosyjsko-niemieckiego aliansu, nigdyby Rosja nie ośmieliła się była na tak bezwzględny ton."

Nie najmniej wartościowe w uwagach dra V. V. Tilei jest to zesumowanie tego, co dziś Europa słyszy, czego słucha i co z konieczności rozważa.

BENESZ A REWOLUCJA

Zwracając się w dniu 3 lutego b.r. do Czechosłowackiej Rady Państwowej, prezydent Benesz oświadczył co następuje:

"Musi nastać w naszej ojczyźnie wielki ludowy ruch rewolucyjny . . . Nasza walka i rewolucja w tej wojnie muszą być silne, ofenzywne i dobrze zorganizowane . . . W celu zapewnienia końcowego przejścia do nowego swobodnego życia narodowego, wnosi się by każda parafia, każda wieś, miasto czy powiat wybrały Narodowy Komitet Obywatelski, wyłoniony przez wszystkich . . . Nie można pomyśleć sobie jednej rewolucji w domu, a innej zagranicą. Jest tylko jeden zjednoczony, wspólny ruch oswobodzenia. Dla tych przyczyn, skoro tylko stanie się to możliwe, powstanie nowy wspólny Rząd, złożony głównie z ludzi kraju *oraz pewnej liczby robotników z zagranicy* . . ."

Nie mówiąc już o pełnych tajemnicy słowach ostatnich, nie sposób nie zauważyć bardzo "rewolucyjnej" terminologii użytej w tym orędziu. Klucza do tego tonu szuka p. Voigt w ostatnim numerze *Nineteenth Century and After*. Uwagi jego są wnikliwe jak zawsze i odważnie mówią to, czego się w tym kraju czytać nie zwykło.

Rzecz polega na tym, że nie bardzo widać jaką inną drogę mógłby reżim Benesza wybrać, poza tą drogą rewolucyjną. W każdym razie nie jest on w stanie sięgać do zasady ciągłości czy jakiegokolwiek legitymizmu. "Zupełnie inaczej — powiada p. Voigt — niżli to jest przy Rządach polskim, jugosłowiańskim i innych Rządach alianckich, Rząd Czechosłowacki nie ma wogóle konstytucyjnego statusu". Wystarczy tu przypomnieć, że w dniu 5 listopada 1938 r. dr. Benesz zrezygnował ze swego stanowiska Ptezydenta i bez zastrzeżeń uznał potem prezydenturę Hachy. List do Hachy skierowany w dniu 10 listopada, którego tekst można znaleźć w rzeczonym artykule z *Nineteenth Century*, zawiera życzenia dla nowego prezydenta, wymowne bo wymownie świadczące, że nie siebie uważał dr. Benesz za głowę państwa.

W marcu 1939 dr. Benesz posyłał depeszę do Roosevelta, Halifaxa, Bonneta i Mołotowa, podpisaną "*były* prezydent Republiki Czechosłowackiej".

Co więcej, w samym "Protektoracie", więc w samychże Czechach zachodzą ostatnio pewne fakty, świadczące o tym, że istotnie specjalnymi metodami rewolucyjnymi musiałby dopiero dr. Benesz torować sobie drogę do kraju.

I tak:

1. Dnia 5 grudnia 1943 list pasterski biskupów katolickich czeskich, odczytany z ambon, potępiał rosyjską politykę dr. Benesza. Odczytano go "z okazji podróży do Moskwy dra Benesza". Tydzień potem, dokładnie 12 grudnia, został podpisany pakt z Moskwą.

2. W dniu 15 grudnia, Komitet Wykonawczy Ligi Młodzieży Czeskiej, liczącej ponad 400,000 członków, na zebraniu w Pradze, potępił "wysiłki czeskiej emigracji dążące do poświęcenia losów narodu czeskiego na rzecz rozkładających sił bolszewizmu".

3. Nazajutrz, 16 grudnia, Rząd Hachy oświadczył, iż nigdy nie uzna układów moskiewskich.

"Zapewne, konkluduje p. Voigt, można twierdzić, że oświadczenie Rządu Protektoratu Czeskiego się nie liczy, bo powzięte zostało pod obuchem niemieckim. Mniej pewnie jednakowoż dałoby się to stwierdzić w odniesieniu do Deklaracji młodzieży czeskiej. A już wcale się tego nie da powiedzieć o Liście Pasterskim . . ."

My ze swej strony dodajmy, że aczkolwiek Polska przepłaciła to krwawą i okrutną rzeczywistością, jednakowoż stan rzeczy na polskich ziemiach jest tak jasny, iż nie może tam być mowy o wirach i zamęcie panujących między Czeskim Krajem a Emigracją Benesza. Dodajmy również że powyższe uwagi Voigta dotyczą jedynie Czech i Moraw. Słowacja ma wogóle swe odrębne życie państwowe, i cieszyła się nawet w roku 1939 uznaniem sowieckim, skoro poseł sowiecki rezydował w Bratysławie . . .

Ma więc rację dr. Benesz nie znajdując dla siebie innego języka, niżli terminologię wysoce rewolucyjną. Wie też pewno co mówi, kiedy liczy na pomoc czeskich robotników z zagranicy.

Gdzie ich znajdzie i skąd sprowadzi?

CZY HISTORIA MOŻE SIĘ POWTARZAĆ?

Pod tym tytułem *Weekly Review* zamieszcza zestawienie pewnych równoległych faktów, zestawienie precyzyjne i ścisłe, mające nieledwo wymowę wykresu historycznego:

Hitler

7 *marca* 1936

Nie mamy żadnych terytorialnych wymagań w Europie.

26 *września* 1938

Po załatwieniu problemu Sudetów Niemcy nie będą miały żadnego innego terytorialnego problemu w Europie.

28 *kwietniu* 1939

Mr. Roosevelt sądzi, że zachodzi niebezpieczeństwo wojenne.

Jeżeli o mnie idzie, nie znam żadnego takiego niebezpieczeństwa wobec innych narodów.

(21 sierpnia Niemcy podpisały pakt z Rosją, a 1 września najechały Polskę).

Stalin

Stalin dementuje jakiekolwiek plany rządzenia Europą.

Rosja niema wcale zamiaru ekspansji w Europę środkową czy zachodnią.

Strategiczne potrzeby Rosji domagają się terytorialnych i politycznych zmian (readjustments) — Polska — w Europie wschodniej, ale nie ma ona żadnych wymagań poza sferą jej bezpośrednich interesów strategicznych.

(*Observer*, 20 luty 1944).

Weekly Review dobrze robi, że nie dodaje tu swego komentarza: każde słowo retoryczne osłabiłoby wymowę suchego wykresu tych faktów i zestawień.

ROK 1941

Rozważania historyczne nie zawsze są zbytkiem, nawet w czasie szybko pędzących aktualności wojennych. Wręcz przeciwnie: pewne wiadomości wydostające się *ex post* do wiadomości publicznej, mogą się przyczynić do jasnego uchwycenia łańcucha przyczyn i skutków, bez którego ostatecznie ład zamienia się w nieład myślenia politycznego. Polityka zdrowa w ostatecznym rezultacie zależy od zdrowego myślenia politycznego i — co z tym idzie w parze — od precyzowania odpowiedzialności za polityczne działanie.

Przegrana taktyczna, jakiej doznaje polityka polska roku 1944, nie może być oderwana od pomyłki strategii politycznej, jaką przedstawiał źle zawarty pakt polsko-rosyjski w roku 1941. Wracaliśmy do tego stwierdzenia wielokrotnie i nie zamierzamy aż nadto znanych rzeczy powtarzać.

Z jednym wyjątkiem. Zwracaliśmy w swoim czasie uwagę na zbyt pospieszne tempo rozmów i układów polsko-rosyjsko-angielskich z lipca 1941, i na niedostateczne wygranie wtedy przez politykę polską — możliwości amerykańskich. Ameryka nie była jeszcze w wojnie, zaś pomoc zbrojeniowa z jej strony, pomoc dla Rosji ogromna i decydująca, zależała w dużej mierze od *imponderabiliów* polsko-rosyjskich. Układ polski, pospieszny i pochopny, stanowił, w oczach amerykańskich, legitymację pochodzącą od strony polskiej ofiary sowieckiego napadu z września 1939, oraz polskiego świadka naocznego rosyjskich metod okupacyjnych.

Rosja była wtedy niezmiernie czuła na amerykańskie sugestie Zyskujemy teraz właśnie nowy tego dowód.

Daily Telegraph z 16 lutego w artykule J. C. Johnstona, poświęconym Finlandii, przypomina, że *pod wpływem Stanów Zjednoczonych* Rosja godziła się *w sierpniu* 1941, na miesiąc po pakcie polskim, na nawrót do granicy finlandzkiej z przed roku 1940! Wpływ Stanów Zjednoczonych był tak wtedy ważki, że doprowadził Moskwę do wycofania się ze zdobyczy osiągniętych na Finlandii w ciągu roku 1940!

Nikt historycznie i politycznie myślący nie może oprzeć się przekonaniu, że ten sam potężny wtedy wpływ amerykański mógłby był zaważyć i na szalach, na których widniała sprawa nawrotu do traktatu ryskiego.

Historia kiedyś osądzi, kto tu zawinił? czyje metody zawiodły? i na kim spoczywa odpowiedzialność ,a na kim nie.

MILCZENIE CZY MOWA?

Po konferencji moskiewskiej p. Ignacy Matuszewski pisał w nowojorskim *Nowym Swiecie* co następuje:

"Rząd premiera Mikołajczyka milczy. Milczy nawet wtedy, kiedy mówi".

Formuła ta jest trafna, bo wyłącza wszelkie mówienie *ut aliquid fecisse videatur*.

Oczywiście Rząd polski postępował i postępuje w ten sposób milczący dlatego tylko, by nie "utrudniać" i "dość już tak trudnej sytuacji". Nie po raz pierwszy Rząd polski wykazywał tę szlachetną wstrzemięźliwość. I tak, przypomina p. Matuszewski, że nie z czego innego wypływał nasz *handicap* 1930 roku:

"Polska walczyła we wrześniu 1939 r. niezmobilizowana. Walczyła zaś niezmobilizowana dlatego, że ze strony Francji i Anglii bezustannie ostrzegano Polskę, by nie czyniła nic, coby mogło "utrudnić" pokojowe rozwiązanie konfliktu z Hitlerem. Dlatego walczyło z Niemcami tylko 30 dywizyj, choć mogło było walczyć 60. Dlatego kiedy ją napadnięto—Polska, zamiast skoncentrowanej armii, miała wojsko w transportach. Przyjaciele szczerze powstrzymywali Polskę, by nie mobilizowała w marcu, nie mobilizowała w maju, nie mobilizowała w sierpniu. Na skutek tego Hitler wybrał swobodnie dzień uderzenia. Dlatego mógł manewrować tak długo, jak chciał, mógł dojść do porozumienia ze Stalinem. Przyjaciele byli dobrzy — rady były złe".

Tak i dziś:

"Dziś Polska stoi przed podobnym dylematem. Jest znów pierwszym obiektem agresji. W 1939 r. Polska — ulegając złym radom dobrych przyjaciół — wyrządziła krzywdę sobie i im. Jeśli dziś Polska ulegnie znowu — zbłądzi ponownie".

Pisane to było po Moskwie — w listopadzie 1943 roku.

W styczniu 1944 "milczenie" czy mowa rządu Mikołajczyka jest jeszcze bardziej uderzające.

Jak pisaliśmy w numerze poprzednim, jedyną męską, wyraźną i "niemilczącą" mową Rządu polskiego po mowie Churchilla winną była być — dymisja rządu.

ALEKSANDRA POLESKA

SPRAWA SARNOWSKIEGO

(Wspomnienie z sowieckiej "poprawczej kolonii pracy.")

WRACALIŚMY z pracy człapiąc łapciami po wrześniowym błocie, gdy Wiesław wrzasnął mi nad uchem:

— O, już ten smarkacz znowu tu leci.

Ostre słowa odnosiły się do jego młodszego brata, który miał zwyczaj codziennego wybiegania z osiedla, aby nikt przed nim nie zdążył nas "olśnić nowinami". Przeważnie wyglądało to tak

— Dziś chleba niema. Nie przywieźli. Pewno dopiero jutro przywiozą.

albo:

— Stołówka dziś zamknięta. Remontują. Niewiadomo kiedy otworzą.

Zmęczeni i głodni, staraliśmy się nie wierzyć chociaż później okazywało się, że Rysiek zwykle miał rację. Wiesław prał go konsekwentnie za te nowiny, ale dzieciak był niepoprawny.

Gdy dziś stanął przed nami czerwony i buchający parą, odrazu widać było, że ma nielada nowinę.

— Dwóch nowych "polskich ludzi" przyjechało aż z Archangielska. Byli na obiedzie w stołówce a teraz siedzą u mamusi i płaczą, bo ta pani straciła w Rosji czworo dzieci.

Pobiegliśmy pędem. Na całym pasiołku były już tylko cztery polskie rodziny, nie cieszące się zbytnią popularnością wśród Maryjców, Rosjan i garstki ewakuowanych Łotyszów. W takiej chwili dobrze było mieć sprzymierzeńców.

U Machalczyków duszno było i gorąco. Na kominie płonęły szczapy skradzione przez Rysia majstrowi, bo lampy, z braku nafty, nie było. "Nowy polski człowiek" siedział pod oknem wciśnięty w futrynę i spode łba spojrzał na nas gdy weszliśmy. Miał niebieskie, mocno wpadnięte oczy i wygląd rewolucjonisty. Nie mówił prawie wcale, wymamrotał tylko swoje nazwisko:

— Sarnowski.

Jego żona byłaby śliczną kobietą, gdyby nie zupełny brak zębów, które straciła w ostatnim roku po przejściu szkorbutu. Siedziała przy piecu węsząc chciwie zapach dogotowującej się zupy.

Po kolacji opowiedziała nam swoją historję. Oboje z mężem mieszkali w Drohobyczu skąd ich wywieziono w głąb Związku Sowieckiego. Trafili do najgorszego miejsca w Rosji — do Archangielska. Tam umarło im czworo dzieci z wycieńczenia, najmłodsze już po zwolnieniu. Po śmierci ostatniego dziecka wyjechali natychmiast i kręcili się czas jakiś po całej Rosji. Byli i w Taszkiencie, ale tam rozpoczęła się właśnie epidemia tyfusu. Całą prawie podróż odbywali zadarmo dzięki fantastycznemu niedbalstwu władz kolejowych. W powrotnej drodze na północ zaczepili o Buzuluk, gdzie formowała się armia polska.

— Dlaczegoście tam nie zostali?

Nie mogli zostać, bo Sarnowskiej nie chcieli przyjąć do wojska. Była w poważnym stanie; miało przyjść na świat jej piąte dziecko. Jej mąż miał zagrożone płuca i do wojska również się nie nadawał. Wrócili pracować dalej w lesie, zbyt zmęczeni, aby myśleć o przyszłości.

Sarnowski zaczął pracować w naszej brygadzie a później jego żona także. Nie byliśmy tem zbyt zachwyceni.

Zastanawialiśmy się często czy jest na świecie chociaż jedna rzecz, którą Sarnowski potrafi dobrze zrobić. Nie umiał nawet drzewa porządnie podrąbać i stale trzeba było mu pomagać.

Po pracy, jeżeli wszystkie domowe zajęcia były skończone a drzewo napiłowane na tydzień zgóry, mieliśmy chwilę wytchnienia. Skupialiśmy się wszyscy wokół jedynej lampy przy wspólnym stole. Machalczykowa wróżyła z kart, jeżeli ktoś nalegał a Wiesław usiłował naprawić beznadziejnie zepsute walonki. Patrzyliśmy w ogień i każdy myślał o swoich sprawach. W takich chwilach, kiedy widmo dnia roboczego zostało odsunięte do jutra, dotkliwie dawał się we znaki brak wszelkiej łączności ze światem. Pół roku minęło, odkąd dostaliśmy ostatni list z Polski, a o gazecie nie można było marzyć. Jeżeli nawet pojawiła się jakaś, to Rosjanie rozdzierali ją między sobą w mgnieniu oka. Służyła do kręcenia papierosów.

Dnie biegły monotonnie i coraz głębsza zima schodziła na pasiołek. Rano budziliśmy się objęci nieprzyjemnym chłodem, — to woda zamarzła w naczyniach. Nocami wilki wyły w pobliskim lesie, a czasem podchodziły do osiedla i porywały psy. Wychodziliśmy do pracy i wracaliśmy w kompletnej ciemności.

W naszej brygadzie nic się nie zmieniło, dalej pracowaliśmy w czwórkę. Sarnowscy kłócili się między sobą, a po powrocie do domu Władysław prał swą żonę, ku uciesze Rosjan, którzy podglądali przez dziurkę od klucza. Rosjanki zwłaszcza były strasznie ciekawe "*czy polskije mużyki także samo bijut kak russkije*".

Wieczorne posiedzenia przy ogniu zmieniły się o tyle, że Sarnowska często przychodziła z zaczerwienionymi oczyma i rozwlekle opowiadała o swojej domowej tragedji:

— A bo to "mój" tak się zmienił, pani, że to już całkiem niemożliwe, póki dzieci były to jakoś lepiej, a teraz to już całkiem czort w niego wstąpił, pani.

Byliśmy zbyt zmęczeni, by udawać współczucie.

Wiesław ogromnie się w ostatnim czasie z Sarnowskim zaprzyjaźnił. Przesiadywał stale u niego, a raczej obydwaj wynosili się na strych, aby mieć święty spokój ze strony bab. Coś tam sobie po cichu majstrowali. Machalczykowa nigdy się już nie mogła doprosić, żeby przyniósł wody lub porąbał drzewo, bo chłopak shardział niebywale. Odszczekiwał matce bez namysłu i zacięcie bronił Sarnowskiego:

— Wy nawet nie wiecie, że Władek genjusz jest, ale nic wam nie powiem bo i tak nie zrozumiecie.

Jakiś czas intrygowała nas ta przyjaźń niczym nie wytłumaczona, ale w końcu zapomnieliśmy i o tym.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Mieliśmy obchodzić je uroczyście na złość bolszewikom, nawet Machalczykowa postarała się gdzieś o kawałek ryby, żeby była prawdziwa wilia. Tego dnia wróciliśmy wcześniej z pracy, wymknąwszy się naszym aniołom stróżom Kolację zjedliśmy razem w doskonałym nastroju. Wiesław przyniósł pół szklanki wódki, więc wypiliśmy symbolicznie za przyszłe lepsze czasy.

Po kolacji Sarnowski zaprosił nas do siebie. Poszliśmy niezbyt chętnie, bo "kwartira" ich znana była z nieporządku, lecz Wiesław obiecywał niespodziankę.

Weszliśmy do brudnej izby i pousiadali grzecznie na ławkach i na ziemi. Nie bardzo chciało się rozmawiać, więc cisza zaległa pokój. Przerwała ją piskliwie i niepotrzebnie Machalczykowa.

— Słuchajcie, słychać muzykę.

Rzeczywiście, wydało nam się, że grają i to coś bardzo znanego, ale nikt nie wiedział właściwie co.

Rysiek zaraz wyjaśnił sytuację:

— Mamo, to chyba kolenda.

Spojrzeliśmy na Wiesława i na Sarnowskiego, napęczniałych z dumy, i pobiegliśmy pędem na strych. Wiesław wskazał nam w kącie jakiś przedmiot, który zaledwie można było wyróżnić w mroku. Był to aparat radiowy.

Kiedy bolszewicy przyszli do Sarnowskich, aby ich zabrać do Rosji, Władysław nie pomagał żonie pakować dzieci i dobytku. Jak ryś rzucił się do jednej jedynej skrzyni, która stała pod oknem i taszczył stamtąd różne druty, cewki i lampy, troskliwie kryjąc to wszystko przed okiem wrogów. Nie pomyślał w tej chwili napewno, że kiedyś w głębi lasów, oddalony o kilkadziesiąt kilometrów od najbliższej stacji kolejowej, słuchać będzie z Londynu polskiego komunikatu. Dla tego człowieka, zawiedzionego we wszystkich swoich ambicjach, nieszczęśliwego w domowym pożyciu i chorego na nieuleczalną chorobę, radio było symbolem dostatku, spokoju i dobrobytu. Długo pracował nad tym, aby zainstalować je u siebie w Polsce, długo uczył się jego sekretów, aż wreszcie pewnego dnia poczuł się silny i czarodziejską mocą obdarzony, bo przeniknął wszystkie jego sekrety. I dlatego gdy przyszli go zabrać, nie ratował ani siebie, ani żony, ani dzieci, uratował tylko rzecz najdroższą na świecie.

*

Na wiosnę przenieśliśmy się do miasta. Sarnowscy nam nie towarzyszyli. Przypuszczam, że na postanowienie Sarnowskiego zostania na posiołku wpłynęło nie tyle zdrowie żony, co strach o uszkodzenie radia, z takim trudem zmontowanego. Pozostali sami pośród Rosjan i Łotyszów; on zawsze tak samo niedbały, arogancki i nieznośny.

Pewnego dnia jedna z Rosjanek, podglądająca sceny rodzinne Sarnowskich, spostrzegła na stole porzuconą słuchawkę. Babina dała znać do najbliższego posterunku policji. Naczelnik N.K.W.D. bał się trochę Sarnowskiego, więc zarządził rewizję wtedy, kiedy nie było go w domu.

Dalszy ciąg jego historii poznaliśmy z urywkowych relacji Rosjan, którzy w mieście nas odwiedzali. Opowiedziano nam, że Sarnowski pewnego dnia zniknął w tajemniczy sposób z pasiołka razem z żoną i bardzo być może, że powiększył gromadę tych ludzi, o których się nigdy w Rosji nie wspomina, ale których los jeży włosy na głowie człowieka odważającego się o tym myśleć.

* Wywiezieni w r. 1939/41 przez władze sowieckie obywatele polscy — zamknięci zostali w liczbie około 2,000,000 w więzieniach, oraz obozach koncentracyjnych, które noszą w Rosji powyższą nazwę.

KSIĄŻKA

DRUGA WYSPA

Pod tym tytułem[1]), mamy do zanotowania pierwszą bodaj emigracyjną sztukę teatralną osnutą wokół wątku krajowego. Sztuka ta jest już grana siłami Teatru Żołnierza i, słyszymy, spotyka się z uznaniem i powodzeniem. Będzie kiedyś pierwszą z długiego szeregu dzieł scenicznych, które do tej rzeczywistości, straszliwej i tragicznej, będą nawiązywać.

Drugą jest ta wyspa dlatego, że pierwszą jest wyspa, która powszechnie uznaną jest za symbol oporu wobec tyranii teutońskiej. Tytuł znamienny, mimo że chronologicznie polska wyspa była pierwszą. W trzech aktach a czterech obrazach mamy tu do czynienia z epizodem podziemnej walki z najeźdźcą, epizodem jakich napewno tam wiele. Mamy więc zorganizowany spisek celem uwolnienia jeńca angielskiego, a właściwie celem ułatwienia mu wydostania się z Kraju; że Anglik jest sympatyczny i bohaterski, nie trzeba dodawać, jak też i tego, że kocha młodą Polkę, współuczestniczkę akcji. Niemca "dobrego" nie ma oczywiście na lekarstwo, a jeżeli Stabsarzt von Levandovsky zdradza Niemców i ułatwia ucieczkę Polakom i Anglikom, to tylko dlatego, że jest zniemczonym Polakiem, w którym pobyt w Polsce obudził rasową polskość.

Cała ta treść, celowo "jakich wiele", nie odznacza się niczym specjalnie interesującym, ale zadanie swoje ten wątek spełnia dzięki bardzo dobrej robocie scenicznej.

Sztuka jest istotnie *dobrze zbudowana*. Jak na parę polskich autorów — jest to fakt raczej radosny i rzadki. Ekspozycja szwankuje nieco, jest "umyślna" i nieco ad hoc, nieco więc papierowa. Ale trwa krótko, akcja zawiązuje się szybko, napięcie rośnie. Niechby tylko antrakty nie trwały zbyt długo, a napewno widz z niesłabnącą ciekawością będzie śledził tę sprawę.[2])

Raczej możnaby się pokłócić z *Drugą Wyspą* w czasie jej lektury. To co jej postacie mówią nie jest zbyt ciekawe. Wcale to nie jest "*spectacle dans un fauteuil*": należałoby to raczej zobaczyć na ekranie.

Z tego punktu widzenia dramat ten jest właśnie ciekawy; wynikł z kultury ekranu raczej niż kultury teatru. I tu pewno jest cecha odróżniająca tę sztukę z roku 1944 od jakiejkolwiek intencji twórczej z roku 1844! Wtedy prym dzierżyła kultura słowa i lektura, dziś po stu latach ta sama treść, zmaganie się polskości z wrogiem, doczekała się przede wszystkim opracowania tak scenicznego że aż prawie ekranowego.

Radzimy autorom, by szybko pomyśleli o realizacji ekranowej swego filmu *in potentia*.

KINOMAN

---

1) S. M. Marvey — T. Semp.: DRUGA WYSPA. Sceny dramatyczne z życia i walki podziemnej Polski. — Londyn 1943.

2) Głównym błędem konstrukcji jest zawczesne zabicie Lewandowskiego, który poza pierwszym aktem się nie zjawia. Postać "psychologiczna" została w ten sposób zdegradowana do epizodu, mimo że o sztuce decyduje.

NA LONDYŃSKIM BRUKU

Jest wielu ludzi, którzy w nieszczęsnym "Dzienniku Polskim" czytują tylko jedną rubrykę: "*To i Owo*". Redaguje ją Karol Zbyszewski. "To i Owo" wprawdzie nie może się równać z przedwojennymi rubrykami tegoż autora, a mianowicie "*Ryżową Szczotką*" w "Prosto z Mostu" i "*Karolem*" w "Słowie", ale jest jedyną odtrutką na zgorżknienie i fałsz codziennego życia naszej urzędniczej emigracji wojennej.

Zbyszewski wytworzył sobie własny "*genre*" literacki. Możnaby ten "genre" porównać do rysunku zwanego karykaturą zjadliwą. Karykatura to robiona z wielkim i oryginalnym talentem. Pasją Zbyszewskiego jest wykrywanie wszelkiej pozy i najmniejszego nawet śladu zakłamania. Obdziera on ludzi brutalnie z wszelkiego odzienia i naigrawa się z nich potem. Sympatię objawia tylko dla człowieka prostego a nawet ciemnego, nie ukrywającego swych pierwotnych instynktów dobrych i złych. Zbyszewski jest "chory na Polskę", motywem jego zjadliwości jest zawsze pretensja do rodaków, że nie są godni wielkiej roli swojej ojczyzny.

Język Zbyszewskiego jest dla wielu szokujący. Stanisław Piasecki zauważył o nim niegdyś, że pisze poprostu tak jak mówią jego rówieśnicy na ulicy, w kinie czy na zawodach. Istotnie jest to pomnik żargonu młodej inteligencji polskiej z drugiej ćwierci dwudziestego wieku. Ilekroć autor usiłuje wyjść poza ten żargon i zaprezentować cokolwiek z folkloru np., chybia i wycofuje się po paru słowach na swoją stałą pozycję. Nawet jego Poleszucy i Górale mówią gwarą warszawskich maturzystów. Gwara ta miażdży wszelką obłudę.

Obecnie Karol Zbyszewski wydał selekcję dowcipów i uwag z "To i Owo", uzupełnionych paroma anekdotycznymi sylwetami żołnierzy, w formie książeczki p.t. "*Z Marszałkowskiej na Piccadilly*"[1]). Niewątpliwie bezpretensjonalna ta aż do przesady broszura będzie miała duże i zasłużone powodzenie w Wielkiej Brytanii, i to tak w Szkocji jak i w Londynie. Będzie niewątpliwie interesowała każdego Polaka, gdziekolwiek się znajdzie: na Bliskim Wschodzie czy w Ameryce. Ale nie na tym jej istotne znaczenie polega. Jej wartość, to nieautentyczna ale prawdziwa anekdota wychodźcza. Będzie ona kiedyś niezbędnym uzupełnieniem dla każdego badacza, grzebiącego się w urzędowych dokumentach polskich z okresu, że użyjemy wyrażenia autora, "drugiej światówki". Przeczytają te historyjki z wyblakłymi uśmiechami na Piccadilly, ale prawdziwe powodzenie czeka je na Marszałkowskiej. Odpowiadają bowiem na pytanie: "*Ty, bez lipy, jak tam było w Londynie?*"

P. J.

---

1) Karol Zbyszewski — *Z Marszałkowskiej na Piccadilly.* Str. 72, cena 3/6'

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W WIELKIEJ BRYTANJI [1])

Sądownictwo w Wielkiej Brytanji zorganizowane jest na całkiem odmiennych zasadach od sądownictwa kontynentalnego. Dlatego też przy usiłowaniu poznania ustroju tego sądownictwa, wydaje się że jest ono niesłychanie skomplikowane i dopiero głębsze studia pozwalają wyrobić sobie jasny obraz angielskich instytucji wymiaru sprawiedliwości.

Wydana przez *British Council* książeczka Sir Maurice Amos'a, K.C. obrazuje w sposób przejrzysty ustrój sądów Anglji i Walii, oraz instytucji, współpracujących z wymiarem sprawiedliwości, jak policja, koronerzy i t.d. i zawiera wszystkie te dane, które o tak ważnej dziedzinie życia każdego kraju, jak sądownictwo, inteligentny człowiek winien wiedzieć.

Jeżeli chodzi o tłumaczenie książeczki, Sir Maurice Amos, dokonane ono zostało poprawnie, jednakże przetłumaczenie nazwy *High Court* przez Sąd Najwyższy nie jest zupełnie trafne: High Court nie jest bowiem Sądem Najwyższym w powszechnie przyjętym tego słowa znaczeniu. Od wyroków tego sądu można się bowiem odwoływać do *Court of Appeal* w sprawach cywilnych, do *Court of Criminal Appeal* w sprawach karnych, od wyroków tych zaś sądów w niektórych wypadkach nawet do Izby Lordów.

High Court, w organizacji sądownictwa angielskiego, jest sądem posiadającym pełną jurysdykcję, a więc sądem wyższym w stosunku do sądów Quarter Sessions, County Courts i Summary Courts, posiadających jurysdykcję ograniczoną. Zgodnie zaś z Judicature Acts (1873-5) High Court i Courts of Appeal tworzą razem *Supreme Court of Judicature.*

---

1) "*Wymiar Sprawiedliwości w Wielkiej Brytanii*", przez Sir Maurice Amos, K.C., w tłumaczeniu Dr. Marji Krzemickiej, wydane dla The British Council przez The British Publishers Guild, 182, High Holborn, London, W.C.1. Cena 1/-.

APEL DO CZYTELNIKÓW

Administracja "*Myśli Polskiej*" zwraca się z uprzejmą prośbą do P.T. Czytelników, którzy nie kompletują naszego pisma, a posiadają jednak w swoich papierach pojedyncze egzemplarze "*Myśli Polskiej*", o łaskawe przesyłanie ich Administracji.

Chodzi nam specjalnie o następujące numery: 9, 20, 33, 34, 38, 39, 40, 41, 45, 46, 47. — Numery te nadesłane w dobrym stanie gotowi jesteśmy, jeśli nadsyłający będzie sobie tego życzył, uznać jako egzemplarze wymienne za numery bieżące, czyli poprostu jako równowartość odpowiedniej kwoty za prenumeratę.

Winni jesteśmy podać krótkie wyjaśnienie naszego apelu. Otóż ciągłe zapotrzebowanie na komplety wyczerpało nasze zapasy, tak że w chwili obecnej odczuwamy brak wymienionych numerów, a jego uzupełnienie może nam przynieść jedynie odzew na nasz apel.

MINISTERSTWO DÉSINTÉRESSEMENT W SPRAWACH POLSKIEJ PROPAGANDY

Otrzymujemy następujące uwagi :

NIEJEDNOKROTNIE zwracano powszechnie uwagę, zarówno w Wielkiej Brytanii jak i w U.S.A. i krajach neutralnych, że Sprawa Polska nie jest należycie poparta propagandą filmową. Propaganda polska podkreślała, że Polska nie ma Quislinga, że nie uległa w walce, że stale trwa w tej walce z wrogiem w Kraju i zagranicą. Jednak propaganda ta dociera tylko do "wybranych sfer". Szerokie masy nic o tym nie wiedzą, bardziej są zaznajomione z oporem Norwegów i Francuzów, niż z walką prowadzoną przez Polaków.

Przyczyna tego leży w tym, że najbardziej przekonywująca propaganda wizualna, jaką jest film, jest całkowicie zaniedbana. Na temat Polski ukazały się cztery duże filmy : 1. "*Dangerous Moonlight*" — film, który się cieszył i cieszy wielką popularnością, 2. "*Be or not to be*" — film o mniejszej popularności, ale w każdym razie zostawiający miłe wrażenie wśród Anglosasów, 3. "*Edge of the Dark*" — zasadniczo film propagandowy norweski, w którym Polka występuje, jako kochanka oficera niemieckiego, 4. "*Yellow Canary*" — w którym szpieg niemiecki występuje w mundurze oficera polskiego i deklamuje o Polsce. Poza tym w kilku filmach wspomniano o Polakach. W jednym "*In Which We Serve*" padło propagandowe zdanie, że "gdzie Polacy są na billetingach, tam nie można dostać dziewczyny poniżej 40 lat" ; w drugim Polak-commandos przez niesubordynację z błahej przyczyny, jaką jest kot (przez małe "k"), zdradza położenie patrolu commandosów i powoduje śmierć swych kolegów. W szeregu filmów amerykańskich spotyka się polskie nazwiska : Blesławski (*Destroyer*), Matlawski (*Wake Island*), nazwiska te mają dla Anglosasów brzmienie słowiańskie, ale nic nie mówią o polskości bohaterów.

Jeżeli to wszystko zestawimy, to dorobek w dziedzinie propagandowej jest nie wielki i nie bardzo zachwycający. Film w całym świecie cywilizowanym posiada wielkie znaczenie, jest rzeczą tak niezbędną jak chleb i gazeta. Naocznie można się o tym przekonać, obserwując jak publiczność godzinami wyczekuje w ogonkach kinowych i jak reaguje na filmy.

Ponieważ nie wykazano żadnej twórczości w sprawie propagandy filmowej polskiej, należałoby się spodziewać, że każda okazja ukazania się filmu na tematy polskie będzie należycie wykorzystana.

Jedna z najpoważniejszych, światowych wytwórni filmowych, firma "*Metro Goldwyn Mayer*", wyprodukowała film "*Marie Curie*". Film ten zalicza się do przebojów i cieszyć się będzie zasłużonym zresztą powodzeniem. Obsada filmu — Greer Garson i Walter Pidgeon — taka sama jak w filmie "*Mrs. Miniver*" daje gwarancję, że obraz, o którym mowa, przejdzie nie gorzej jak poprzedni, który był jednym z najbardziej popularnych filmów w Ameryce i w Wielkiej Brytanii w ostatnich czasach.

Francuzi z chwilą ukazania się "*Casablanki*", filmu mówiąc nawiasem sensacyjnoszpiegowskiego, zrobili wielką propagandę traktując premierę tego filmu jako wydarzenie narodowe. Inaczej natomiast jest z filmem "*Marie Curie*". W Ameryce wprawdzie film ten, dzięki staraniom Polonii Amerykańskiej, był wyświetlany wraz z krótkim filmem o Polsce p.t. "Kraj mojej matki", do którego komentarz wygłosiła córka Marie, p. Ewa Curie. Na tutejszym jednak terenie w Londynie premiera odbyła się w sposób dziwny, nikt z Polaków filmem się nie zainteresował, w reklamie nigdzie nie wspomniano nazwiska Skłodowska.

Firma "*Metro Goldwyn Mayer*" przywiązywała wielkie znaczenie do tego filmu, o czym świadczy najlepiej fakt, że kino "*Empire*", które z zasady nie urządza uroczystych premier, wyjątkowo dało taką premierę i dochód z niej przeznaczyło na szpital. Firma ta oczekiwała propozycyj ze strony polskiej, gdyż w swoim czasie wyraziła gotowość najdalej posuniętej współpracy, lecz propaganda polska nie raczyła się tą sprawą zainteresować.

Premiera filmu była jedną z nielicznych możliwości propagandowych dla Polski. Potraktowanie tego filmu jako dowodu wkładu Polski do nauki światowej, dodanie filmów o Polsce oraz przygotowanie specjalnego filmu propagandowego mogło stworzyć wspaniały wyczyn propagandowy, w momencie kiedy Polska dobrej propagandy tak potrzebuje. Cała prasa mogła rozbrzmiewać imieniem Polski i imieniem wielkiej Polki : Marii Skłodowskiej Curie, a nie Marie Curie — "*Polish born girl*" — jak to parę dzienników, wstydząc się za propagandę polską, dyskretnie wspomniało.

Nie można twierdzić, że informacja polska nic o tym nie wiedziała. Parę miesięcy temu sprawa ta była poruszana przez dyrekcję firmy "*Metro Goldwyn Mayer*", na pokazie premierze był Minister Kot i ambasador Raczyński, — kino "*Empire*" dało ogłoszenie do *Dziennika Polskiego*, — premiera była zapowiedziana na tydzień naprzód i . . . nic się nie stało ! Rozumiemy, że wysiłek jaki zrobili nasi dostojnicy przez pójście do kin był wielki, ale to nie wystarcza, jak nie wystarcza stała propaganda robiona przez *Daily Worker*'a....

Zaniedbanie tej okazji nie jest niedbalstwem, ale zbrodnią, za którą ktoś powinien być pociągnięty do odpowiedzialności. Mógłby ktoś powiedzieć, że dużo jest winy po stronie firmy "*Metro Goldwyn Mayer*", ponieważ przedstawiciele jej nie chcieli wyczekiwać godzinami w przedpokojach Strattonu, ale przecież ludzie ci posiadają światową mentalność i uważają, że propagandę Polski powinni robić Polacy i że Polacy sami winni się starać zrobić coś dla Polski, jeśli mają taką okazję. Niestety leaderzy i urzędnicy informacji na Strattonie są zainteresowani tylko jednym dniem miesiąca — pierwszym, kiedy to otrzymują swe "niskie" emigracyjne pensje.

ONLOOKER

Listy do Redakcji

NAPIĘTNOWANIE PASZKWILU

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W imię prawdy i czystości sprawy, której służy prasa polska na emigracji, proszę uprzejmie o umieszczenie w Pańskim poczytnym piśmie następującego oświadczenia :

W celu uniknięcia możliwych nieporozumień podaję do wiadomości, że z rozsyłanym ostatnio nikczemnym paszkwilem p.t. "Wznowione listy wołyńskie", którego autor podszywa się pod celowo przekręcone moje nazwisko i podaje fałszywy adres, nie mam nic wspólnego.

Zwróciłem się do odpowiednich władz o pomoc i wykrycie autora i twórcy tego paszkwilu.

Łączę wyrazy mego wysokiego szacunku i poważania.

Aleksander Hauke—Nowak.

3, Learmonth Gardens,

Edynburg, 8 marca 1944 r.

"MINISTERIALNY CIEMNOGRÓD"

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z pojawieniem się w dwutygodniku "Myśl Polska" No. 64, z dnia 15 lutego 1944 w dziale "Noty i Uwagi" niepodpisanej notatki zatytułowanej "Ministerjalny Ciemnogród," proszę uprzejmie Pana Redaktora o zamieszczenie następującego wyjaśnienia :

Informacja o konfiskacie książki Dra Kazimierza Hartleba p.t. "Kultura Polski" — zamówionej przez Radę Polonji Amerykańskiej jako upominek dla uchodźców i żołnierzy polskich zarządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych Władysława Banaczyka jest nieprawdziwa, jeśli się zważy, że Minister Spraw Wewnętrznych nie ma ani możności, ani tytułu prawnego konfiskowania z Londynu książki wydanej w Stanach Zjednoczonych A.P. przez prywatną firmę amerykańską. Nikt natomiast nie może Ministrowi Spraw Wewnętrznych odmówić uprawnienia wyrażenia opinji czy używanie aparatu rządowego do kolportażu jakiejś publikacji jest wskazane z punktu widzenia interesów państwa.

W końcu chcę dodać że Rada Polonji Amerykańskiej, po zapoznaniu się z treścią ustępów które wywołały protest społeczeństwa żydowskiego w Ameryce, sama cofnęła zamówienie książki w firmie Roy, bez jakiejkolwiek interwencji polskich czynników rządowych.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Prof. Dr. Olgierd Górka

Kierownik Działu Narodowościowego

Min. Spraw Wewnętrznych.

Londyn, dnia 29 lutego 1944 r.

OD REDAKCJI : Czytelnicy, którzy zadadzą sobie trud porównania naszej notatki z wyjaśnieniem Prof. Górki, łatwo się zorientują, czy to wyjaśnienie cokolwiek wyjaśnia. My dodamy tu jedną tylko uwage, w formie zapytania : dlaczego Prof. Góka nie zamieścił odpowiednich wyjaśnień w prasie żydowskiej cytowanej przez nas ? I odpowiemy : bo fakty są prawdziwe, i nasza ocena jest na faktach oparta, wyjaśnienie zaś Prof. Górki tylko na grze słów.

KSIĄŻKI I BROSZURY NADESŁANE

EKONOMISTA POLSKI, Nr. 7 (lipiec-wrzesień 1943). Artykuły L. Barańskiego, Z. Sławińskiego, F. A. Hayeka, E. Wencla, Z .Karpińskiego, T. Janty-Połczyńskiego, J. Dąbrowskiego i in. Recenzje : Listy do Redakcji ; Informacje gospodarcze (z W. Brytanii Danii, Finlandii, Niemiec, Norwegii, Stanów Zjednoczonych i Polski). Wydawnictwo Stow. Ekonomistów Pol. w W. Brytanii, skład główny : M. I. Kolin, 9 New Oxford Street, W.C.1. Str. 148, cena 3/6.

ŚLĄSK CIESŃZYSKI POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ (1939-1943), Nr. IX. Biuletyn Koła Ślązaków Cieszyńskich w Londynie, grudzień 1943. Odbite na cyklostylu. Str. 31.

BULLETIN of the POLISH INSTITUTE of ARTS AND SCIENCES in AMERICA, issued quarterly, Vol. 2, October, 1943, No. 1. Adres : 37 East 36th Street New York City. Str. 264.

MYŚL POLSKA

Wychodzi dwa razy w miesiącu.
Redakcja i Administracja :
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów) : 6/- lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów) : 12;- lub $4.

Printed for "Myśl Polska," by F. Mildner & Sont, HerbalHill, Clerkenwell Road, London E.C.1, March 20, 1944.